



ODRODZENIE

TYGODNIK

Jerzy Andrzejowski
Bielony
Paweł Hertz
Porwanie Europy
Franciszek Gil
Szczecin - port świat

Rok IV

BIBLIOTEKA
WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
w Opatoku

Warszawa, dnia 3 sierpnia 1947 r.

Nr 31 (140)

JAN M. NOWAK

ŻYCIE W USA

Od specjalnego wysłannika „Odrodzenia“

New York, w lipcu 1947 r.

Kochana Zosiu, nie wątpię, że Ameryka jest dla Ciebie rajem z bajki i że jej obraz w Twoim umyśle zajmuje miejsce pośrednie pomiędzy biułyjnym rajem i wesołym miasteczkiem. Nie jesteś w tym stanie umysłu odosobniona. Francuskie ministerstwo spraw zagranicznych, o ile mnie moje informacje nie mylą, ma w swoich aktach milion podan (praważnie młodych) Francuzów, którzy by chcieli do Ameryki wyemigrować. To samo dałoby się, bez wątpienia, zauważyć w wielu innych krajach. Myśląc o tym zjawisku amerykańskiego mitu chcę podzielić się z Tobą pewną teorią. Możesz podawać w wątpliwość jej naukowość. Nie będę z tego powodu żywić do Ciebie urazy. Kto wie, czy teoria ta nie rozwinie się kiedyś, a może napiszesz nawet o niej pracę doktorską.

Więc słuchaj. Teoria ta, to teoria centrum i peryferii. Jeżeli chcesz dać jej mocną podbudowę, zacznij oczywiście od Rzymu. Obłóć się książkami, które przedstawiają życie pewnej uprzywilejowanej warstwy w rzymskiej stolicy w momencie, kiedy Rzym był już imperium. Po tem zataczaj coraz szersze koła, badając życie prowincji, wnikaając chociażby w system podatkowy na odległych obszarach państwa, starając się wczuć, jak smakował miecz rzymski przyłożony do gardła mieszkanców Galii i z jakich krwawych liści wawrzynu upieciony był wieniec na czołe Tyberiusza.

Zajmijmy się więc na chwilę właściwościami centrum. Te ładnie ubrane dzieci idące do szkoły są ich państwo jest najlepsze, najszcześliwsze i że trzeba nieskonczenie załować tych, którzy nie dostąpili zaszczytu zostania jego obywatelami. W centrum są bezcenne biblioteki, galerie sztuki, są dobrotliwi humanitarysty, którzy przy pomocy uczonych wywodów udowadniają, co zyskała ludzkość przez powstanie takiego właśnie państwa. Istotą centrum jest czyste sumienie i pewna wzajemna życzliwość tych, co do niego należą.

Czy myślałaś kiedyś poważnie o Niemcach? Nie tak, jak na ogół o nich myśli, powtarzając to, co wszyscy wiedzą o ich bestialstwie. Ale tak poważnie, starając się sobie wyobrazić jednego młodego człowieka z Berlina czy Monachium, który lubił Mozarta i holenderskie malarstwo, kochał atmosferę czystości, porządku i dyscypliny swojego kraju i chciał służyć swojej ojczyźnie. Jakże wspaniale brzmiał dla niego program wodza! Jak mało miejsca zajmowały w nim pewne nieprzyjemne czynności, które trzeba było wykonać na peryferiach! Drobne peryferyjne rozprawy z Żydami załatwiono w centrum późno i dyskretnie. A kiedy trafił na peryferie — na Oświęcim czy front rosyjski, kiedy peryferie w postaci milionów niewolników i licznych obozów zaczęły mieszać się z czystym, schludnym centrum — nie pora już było się wycofywać. Centrum było zagrożone. Dobre, stare, kochane, poczciwe niemieckie centrum było zagrożone przez samo istnienie straszliwych, obdartych i brudnych mas ludzkich z peryferii. Sadyzm młodego człowieka, z jakim te masy tepla, był ostatnim gatunkiem wosku, którym się posłużył. Teplą, pomagał swemu przekonaniu, że jednak to są podludzie. Gdyby ich uznał za ludzi, jakżeby zdołał zachować nie skażony obraz swojego centrum?

Widzisz, Zosiu, przed wojną mieszkaliśmy wiele lat na prowincji polskiej. Ministrów, dostojników i pijących z nimi poeci byli dla mnie niedostępna wyżyna społeczna. Wtedy nauczyłem się, że mały człowiek z peryferii znaczy więcej niż wojewoda i minister. To, że ten mały człowiek nie znaczy nic — jest tylko pozorne. Zwróć uwagę, jaki to delikatny mechanizm. Ten, który nie może podnieść głosu w swojej obronie, został skrzywdzony. Dziesięciu, stu, tysięcy, sto tysięcy, milion takich ludzi zostało skrzywdzonych. Tego nie da się ukryć (nigdy to się ostatecznie nie udaje) i świadomość tych faktów przenika do centrum, które, jak wiadomo, lubi mieć czyste sumienie, a przynajmniej być w zgodzie z logiką. Coż się wtedy stało? Mnożą się wtedy w centrum teorie, hasła i posunięcia, które usiłują te fakty ukryć albo przyozdobić. Teorie o pół stopnia odległe od rzeczywistości, hasła niefabularne, posunięcia odrobinę szpeczące ze zdrowym rozsądkiem. Zżyciem społecznym rządzi jednak prawo lawiny. Tak powoli wytwarza się aberracja centrum, która, wierząc mi, pewnego dnia wyrazi się w jakimś szaleństwie, niepojętym dla ludzi stojących poza obrębem i nie poddanych cen-

tralnym zarazkom. Czyż mali ludzie z peryferii, warszawiacy w czasie wojny, nie zdumiewali się szaleńcymi pociągami Rzeszy? Musieli się zdumiewać, gdyż obca im była temperatura, w jakiej żyło niemieckie centrum.

Rozumiesz chyba, że taką teorię można rozbudować ekonomicznie i socjologicznie, a poza tym rozumiesz chyba, że żartuję i wolno Ci traktować moje wynurzenia naukowe tak, jakbyś traktowała moje przepisy kucharskie. Nie lekceważ jednak ujęć dowcipnych.

Mit Ameryki — ciągnąć rzecz dalej — zdaje się polegać na tym, że mówi się o jej centrum, zapominając o peryferiach. Jest to bardzo duże centrum. Stany Zjednoczone nie mają dwóch warstw społecznych, które np. w Europie wschodniej stały na dwu skrajnych biegach społecznego magnesu. Nie mają ani inteligencji, ani chłopów. Małe centrum w Europie wschodniej to była głównie inteligencja. Wielkie peryferie to tzw. kmiotek. Inteligencja to nie tylko pewien poziom osiągniętego wykształcenia — to społeczny rytuał (wejście na miejsce szlachty). Otóż w Stanach zróżnicowanie opiera się na innych zasadach. Czy człowiek, który skończył uniwersytet i prowadzi własne przedsiębiorstwo, jest inteligentem? Nie, jest byznesmenem. Czy ten, który skończył szkołę średnią i jest urzędnikiem, jest inteligentem? Nie, jest tzw. „white collar worker“ (robotnikiem w kołnierzyku). Czy lekarz, inżynier to inteligent? Nie, specjaliści, bez żadnego szczególnego rytuału warstwy inteligentkiej. Rolnik, który ma za sobą wyższe studia rolnicze i pracuje na farmie, czy jest inteligentem? Nie, farmerem. Podział idzie po linii czysto ekonomicznej. Sam dyplom nie jest pasowaniem na „czynownika“. Bierz to zresztą z pewnym przybliżeniem.

Owszem, są w Stanach intelektualni — szczupła garstka ludzi oddanych twórczej pracy umysłowej, czy też szczególnie tą pracą zainteresowanych. Są również tzw. „bramini“ — cała hierarchia rodzin w Nowej Anglii, które obsadzają wysokie stanowiska w nauce, przemyśle i administracji — ale kluczem tutaj jest tyleż zamożność i patrycjuszowskie pochodzenie, co zdobyta wiedza (w Harvard są studenci, których ojciec, wie, dziadkowie, pradziadkowie, prapradziadkowie uczyli się w tych samych salach).

Co do chłopów, to trzeba wyodrębnić Południe, gdzie są znaczne ilości ubogich i prymitywnych polowników, ale w większej części kraju panuje typ farmera, który tym się różni od tradycyjnego „kmiotka“, że należy do centrum, a nie do peryferii. Powszeczna oświata (może nie tyle oświata co wychowanie jednolitego typu obywatelskiego na tym samym obywatelowskim poziomie) odsuwa peryferie jeszcze dalej. Są straszliwe dzielnice slumsów, jest nędza. No, jeszcze by... Ale większość białych Amerykanów stanowi centrum i to jest zapewne źródło atrakcyjności Ameryki. Białych. Nie posądzaj mnie o szczególną tkliwość w stosunku do Murzynów. Widziałem tyle cierpień ludzkich, nieraz zdawałoby się niemożliwych do zniesienia, że mam twarde serce — bo muszę porównywać. Pisałem już w swoich korespondencjach, że mówienie o setkach czy tysiącach linczów rocznie nie, ma żadnego sensu. Europejczy-

cy nauczyli się mierzyć objawy społeczne przy pomocy liczby łebków. Bez dziesiętności tysięcy trupów z nimi nie zaczynają, machną ręką. E, zabili sześciu Murzynów. Też przesładowanie! Wacuś, dodaj w korekcie dwa zera, żeby to przyzwolcie wyglądało. Ja natomiast mogę Ciebie zapewnić, że kilka linczów rocznie wystarczy, aby trzymać czarnych w szachu, o co ostatecznie chodzi. Nie myśl, że lincz bywa karą za zgwałcenie białej kobiety. Zdarza się za spojrzeń na białą kobietę bez należącego uszanowania, za krnąbrność, za takie zachowanie się, na którego podstawie można wywnioskować, że „czarny uważa się za równego białemu“. Mówię o Południu. Południe zaczyna się jednak już w Waszyngtonie i zobacz no — peryferie podchodzą pod samo centrum, sięgają mu do serca. Około połowy ludności w stolicy Stanów stanowią Murzyni. Gdybyś jednak w upalny dzień pojechała na plażę, nad zatokę morską — przekonasz się, że plażę są tylko dla białych. Nie dla czarnych takie fanaberie. Nie sądź, że wszyscy Murzyni są czarni. Niekiedy z nich mają białą skórę. Wystarczy babka. Babka — niearyjka...

Nie o Murzynów mi w tej chwili idzie. Właśnie o białych. Nie jest dobrze, jeżeli mój znajomy Murzyn do mnie powiada: „Murzyn jest psem. A przecież on zrobił ich bogatymi. Naród amerykański za mało cierpi. Kiedy pozna, czym jest cierpienie, nadejdą dla nas lepsze czasy“. To nie jest dobrze. I nie jest dobrze, kiedy linczuje się człowieka, który walczył w drugiej wojnie światowej w obronie Ameryki. Bo zrozum: stosunek białych do Murzynów jest tylko jednym z objawów czegoś znacznie głębszego, czemu na imię: samozadowolenie. Albo, jeśli chcesz: pycha. Albo poczucie, że nam wszystko się należy. „Oni nie cierpią Murzynów i nie cierpią cudzoziemców — powiada mój Murzyn — kochają tylko siebie“. Jest w tym dużo prawdy. Znam wypadek, gdy pewien klub zmusił wytworną damę do opuszczenia prowadzonego przez siebie pensjonatu, gdyż była pochodzenia — wiośkiego.

Jeżeli interesują Cię dokładne statystyki, w roku 1946 było 6 linczów w południowych Stanach. (Źródło: John Gunther, „Inside USA“, bardzo uczciwa i odważna książka, wydana w tym roku, którą można zalecić każdemu, kto chce zapoznać się z Ameryką). W r. 1945 — tylko 1. Te same liczby podaje mój rozmówca — Murzyn. Liczba Murzynów w Stanach: około 13 milionów, z tego około 6 milionów mieszkańców, o różnych odcieniach bieli i brązu — wynik przeważnie pozamażeńskich stosunków białych mężczyzn z czarnymi dziewczętami (służące). Skoro mówimy o peryferiach, całe Południe można z pewnym przybliżeniem do nich zaliczyć. Mieszka tam m. i. około 8 milionów chłopów-polowników, żyjących nie na wyższym poziomie niż chłopci włoscy czy Grecy. Przeciętny dochód społeczny na głowę ludności w r. 1944 wynosił na Południu 716 dolarów, gdy na zachodnim brzegu wynosił 1459, w Nowej Anglii 1284, a dla całego kraju 1117. Najniższy poziom oświaty, najwyższy procent wenerycznych chorób, najniższa ilość telefonów i aparatów radiowych, rabunkowa gospodarka glebą, która ulega erozji —

no i „problem murzyński“. A Murzyni stanowią w Missisipi 49%, w South Carolina 56%, w Louisiana 37%, w Georgia 37%, w Alabama 36%, w stanie Florida 29%, w North Carolina 29%, w Virginia 27%, w Arkansas 26%, w Tennessee 18%. Południe w praktyce nie zna wielopartyjnego systemu parlamentarnego. Rozgrywki wyborcze odbywają się w łonie jednej partii — demokratów, przy czym południowi demokraci w Kongresie stanowią (z nielicznymi wyjątkami) zwarty blok najczystszej w świecie reakcyjny.

Wyobrażasz sobie pewnie Południe jako kraj kwitnących magnoli, tropikalnej roślinności i ognistych brunetów. Co do magnolii i roślinności zgoda. Zdziwisz się jednak pewnie, kiedy się dowiesz, że biała ludność południowych stanów jest najbardziej jednolita rasowo z całej Ameryki — czysto celtycko-anglosaska (z małymi wysepkami Kreolów w Louisianie i Hiszpanów na Florydzie). Jest to kraj starej kolonizacji szkocko-walijskiej i twierdza protestantyzmu — teraz rozumiesz, dlaczego Ku-Klux-Klan zwalcza Murzynów, katolików i Żydów. Katolicy są bardziej tolerancyjni w stosunku do Murzynów, stąd niebezpieczni. Żeby skończyć z Południem, opowiem Ci anegdotę. Kiedy w czasie wojny zapytano pewną murzyńską dziewczynę na Południu, jak, jej zdaniem, trzeba ukarać Hitlera, odpowiedziała: „pomalować go na czarno i kazać żyć tutaj“. Aha, zapomniałem dodać, że południowcy są najlepszymi żołnierzami.

Siłą amerykańskiego centrum jest to, że posiada ono sprawiedliwych, nekających jego ospałe sumienie. Wśród tych sprawiedliwych pierwsze miejsce należy się pisarzom. Pisarze, jak Ci wiadomo, dzielą się na złych i dobrych. Nie wnikając w subtelności estetyczne, komunikuję Ci spostrzeżenie, że źli pisarze to ci, którzy tkwią w centrum, nie wychylają nosa na peryferie i zajmują się dostarczaniem ludziom z centrum błogiej wiary, że wszystko rozwija się znakomicie. Dobrzy pisarze, jak Ci wiadomo, dzielą się na złych i dobrych. Nie wnikając w subtelności estetyczne, komunikuję Ci spostrzeżenie, że źli pisarze to ci, którzy tkwią w centrum, nie wychylają nosa na peryferie i zajmują się dostarczaniem ludziom z centrum błogiej wiary, że wszystko rozwija się znakomicie. Dobrzy pisarze, jak Ci wiadomo, dzielą się na złych i dobrych. Nie wnikając w subtelności estetyczne, komunikuję Ci spostrzeżenie, że źli pisarze to ci, którzy tkwią w centrum, nie wychylają nosa na peryferie i zajmują się dostarczaniem ludziom z centrum błogiej wiary, że wszystko rozwija się znakomicie.

Tak, centrum Ameryki jest wielkie, silne i pewne. Nie zapominaj jednak, że peryferie to nie tylko Murzyni i nie tylko Południe, które dotychczas nie podźwignęło się z Odbudowy czyli dzikiej eksploatacji przez kapitał północny po Wojnie Domowej. Peryferiami Stanów jest cała środkowa i południowa Ameryka, cały ład. Dzisiaj, kiedy tyle mówi się o „Zachodniej Hemisferze“ i o jednoci amerykańskiej, nie trzeba tego lekceważyć, bo Stany mają cały ład (z wyjątkiem może Perona) w rękę i rządzi nim niepodzielnie. Już w nominalnych posiadłościach amerykańskich jak Puerto Rico zaczyna się domena bogoś i ciemnego chłopca, nie mówiąc o Meksyku, Nicaragui czy Brazylii. Stosując moją metodę sądzenia państw nie według tego, jakich teorii uczy się chłopak w centrum, ale według tego, czym jest „jądro ciemności“ jego państwa, o którym nikt mu nie powie, warto się poważnie zastanowić. Sprzedawanie gotowych produktów krajom podległym ekonomicznie i zarazem celowe rujnowanie ich aparatu produkcyjnego może wzbudzić lekki niepokój. Gdybyś zamiast w Polsce urodziła się w Sao Paulo, nie zabrakłoby Ci, jak sądzę, smutku peryferyjności, którego osnową jest bezsilność.

Zechcesz pewnie mnie zapytać, czy sądzę, iż amerykańskie centrum ulegnie aberracji, że słowem białe zajączki zaczęły tańczyć w centralnych umysłach, jak to państwom systematycznie się zdarza. Skłonny byłbym tak przypuszczać, z dwiema poprawkami. Po pierwsze jest to największe centrum, jakie znała historia. Po drugie Amerykanie dość ochotczo przyznają się do swoich win, określając swoją demokrację jako stan legalnej i stałej wojny domowej, lepszy jednak niż wojna domowa krwawa i nielegalna. Jeśli chcesz więc uniknąć błędów, studiuj spokojnie, przypatrując się rozwojowi światowych wydarzeń i nie zapominając o oddanym Ci

Janie M. Nowaku

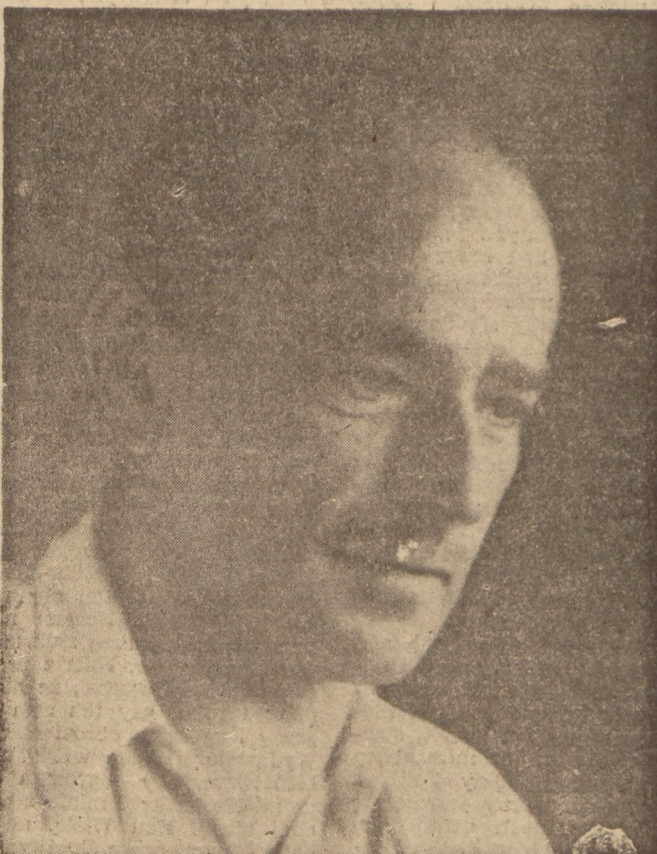
PISARZE WYRÓŻNIENI PRZEZ JURY NAGRODY „ODRODZENIA“



ANTONI GOŁUBIEW
autor powieści „Bolesław Chrobry“



KSAWERY PRUSZYŃSKI
autor „Trzynastu opowieści“



LEOPOID BUCZKOWSKI
autor powieści „Wertepy“

Orędzie do polskich pisarzy i artystów

Za pośrednictwem Brazylijskiego Związku Pisarzy pisarze brazylijscy przesyłają pisarzom polskim braterskie pozdrowienie. W bolesnych dniach nazistowsko-faszystowskiego zalewu byliśmy świadkami ofiary najżywotniejszych „sił inteligencji polskiej; odczuwaliśmy ból zniszczonej Warszawy, rzeź dokonaną na setkach tysięcy ludzi z miast i wsi, którzy padli dlatego, że nie chcieli współpracować z niemieckim najeźdźcą. Cierpieliśmy wraz z Polakami nad tragedią Gdyni, ulic Warszawy i obozów koncentracyjnych, ale wierzyliśmy w wyzwolenie Polski i powrót jej do demokracji. Byliśmy bowiem pewni odporności jej ludu, wśród którego żyli jej pisarze i artyści. Ten wspaniały przykład, jaki dała światu, nie mógł nie wzruszyć do głębi pisarzy brazylijskich, którzy w likwidacji faszystu i hitlerystu i w wyzwoleniu Polaków widzieli etap na drodze do przywrócenia demokracji w ich własnym kraju. Do walki o godność ludzką, sprawiedliwość społeczną i pokój pisarze i artyści polscy wnieśli bezcenny wkład i za to brazylijscy pisarze pragną im na tym miejscu wyrazić najszczerzy swój podziw.

GUIHERME DE FIGUEIREDO
Prezes Brazylijskiego Związku Pisarzy

Rio de Janeiro, 20 marca 1947 r.

JERZY ANDRZEJEWSKI

B I E L A N Y *)

Mieszkaliśmy w tych czasach przedpowstańowych na najdalej wysuniętym na północ krańcu Warszawy — na Bielanych. Bielany, Bielany! Najpiękniejszy widok na Wisłę rozpościerał się w Warszawie z bielańskiego brzegu. W dole, u stóp piaszczystego urwiska, płynęła Wisła tak zawsze czuła na pogodę i kolor nieba, szara, gdy było chmurne, a niebieska, kiedy i ono niebieskością się nasycało. Las bielański szumił wysokimi sosnami, a zбочem urwiska spływała ostrym zakretem ku dołowi malownicza droga. Po jej drugiej stronie wznosiły się wśród zieleni białe budynki zakładu ojców Marianów. Na samym zaś wierzchu, nieomal na jego krawędzi, stała gospoda Bochenka — stara, drewniana buda, goszcząca — w swych ścianach wiele pokoleń warszawiaków. W odległych czasach szkolnych wycieczek, w upał, nigdzie kwas na chlebie nie był tak chłodny i musujący i tak znakomicie nie smakował jak u Bochenka. Nigdzie też na naszej piaszczystej równinie mazowieckiej nie rosły dęby tak bujne i rozłożyste jak w głębi lasu bielańskiego, który kuśki wiatkiem wiejącym od rzeki, soczystą trawą i wersepami strumych wawozów. Jak piękne były te dni szkolnych wycieczek! Poniżej urwiska kołowały białe rybitywy, a statki płynące z warszawskich przystani, albo z dołu od strony Płocka, na bardzo wielką odległość można było rozpoznać po smudze dymu wznoszącej się u kresu widnokręgu. Po drugiej chwili wylaniał się spoza zakrętu oczekiwany statek: biały, żółty, czasem ozdobiony czerwonym pasem. Wreszcie przybliżał się z donośnym gwizdem syreny i mijał nas wolno, wyrzucając z kominów kłęby dymu, z łopotem roztrzaskując ogromnym kołem spokojną wodę. Powiewaliśmy z góry chusteczkami i wymachiwaliśmy rekoma, a małutcy ludzie, podobni do ludzików Breughela, odpowiadali nam z pokładu podobnym pozdrowieniem.

Jedźliśmy zwykle na Bielany tramwajem do ostatniego przystanku na Marymoncie, przy stawie. Tam mijaliśmy ostatnie drewniane domki i wilgotnymi łakami szliśmy w stronę nadwiślańskiego walu, potem wałem, na którego zboczach kwitły żółte kaczence, jak skry i margerytki, zdałaliśmy wprost ku Bielanom. W wilklinach nadbrzeżnych kwikowały ptaki. Bielaty tarniny. W płytych zatokach kapali się nadzy chłopcy, a na rzece zalanej słońcem lekko się kołysały rybakię łodzie. Gdy rybacy wyciągali sieć, w jej sznurach trzępotały się i srebrzyscie migotały ryby. Nieraz środkiem Wisły sunęły wolno ogromne berlinki z drzewem. Jednym z moich pragnień w owych czasach było zamieszkać na podobnej berlince i razem z flisakami popłynąć w dół Wisły.

Na wycieczki wyruszaliśmy zazwyczaj pod opieką naszego nauczyciela przyrody. Był to wysoki mężczyzna, jeszcze młody, o bardzo ciemnych włosach, nieprzytomnych oczach krótkowidza i nieskoordynowanych ruchach. O ile się nie mylę, zajmował wśród grona profesorów podrzędne stanowisko. Nie był dość poważny i na oczach uczniów pokonywał schody, przekaskując po trzy stopnie naraz. Nazywaliśmy go Iwanem, ponieważ pochodził z Rosji i mówił z bardzo złym akcentem. Na swój sposób lubiliśmy go. Gdy krzyczał, myśmmy krzyczeć jeszcze głośnie. Jeśli wpadał w złość, szaleliśmy z radości. Nieraz się zdarzało, że na lekcjach przyrody ani jeden z dwudziestu kilku uczniów nie znajdował się na swoim miejscu. Kołowałyśmy się wszyscy pomiędzy ławkami, pod nimi i na nich, zaś Iwan, całkiem już nad sytuacją nie panując, daremnie usiłował przekrzyczeć nasze młode głosy. Mimo to, a może właśnie dlatego, był znakomitym przyrodnikiem i kochał zwierzęta, kwiaty i rośliny użuciem pełnym mądrości i serca. Na wycieczkach pochłaniało go bez reszty kompletowanie szkolnego zielnika. Porzucał nas dla samotnych poszukiwań, zostawiając nam zupełną swobodę. Korzystaliśmy z niej, to rzecz jasna. Dlatego zapewne tyle wdzięcznych wspomnień ślą mi z dalekiej przeszłości Bielany.

Później, w czasie wojny, gdy zamieszkałem w tamtych stronach, często chodziłem nad brzeg Wisły. Las bielański był odrutowany i niedostępny. Zajmowało go wojsko niemieckie, odbywały się tam ćwiczenia. W zakładzie ojców Marianów obozowali skończony kalmucy generała Własowa. U Bochenka nie było kwasu. Była tylko różowa lemoniada pachnąca złymi landrynkami. Ale sosny i dęby pozostały te same, zakręty białej drogi był równie malowniczy, a brzeg urwisty niezmiennie wznosił się nad Wisłą płynącą w dole i tak czuła na pogodę i kolor nieba, szara, gdy było chmurne, niebieska, gdy i ono niebieskością się nasycało.

Aż pewnego dnia, pod wieczór, gdy daleko płonęła Warszawa i noc na przestrzeni wielu kilometrów były jasne, wpędzono w las bielański tłum mężczyzn, kobiet, starców i dzieci. Byli to mieszkańcy dolnego Żoliborza. Dolny Żoliborz padł dopiero co. Górny jeszcze się bronił. Wyszędzonych zatrzymano na noc w lesie, który, odkąd pamięć żyjących sięgała i jeszcze dawniej, był samą radością i wese-

lem, świadkiem hucznych zabaw zielonoświątecznych, gdy pośród wiosennych drzew tańczyli na wiosennej murawie młodzi chłopcy i dziewczęta, śmiechy i krzyki rozbrzmiewały dokoła. Wisłą płynęły statki strojne w kolorowe festony, u Bochenka huczała muzyka i wódka się lała, a tu i tam pomiędzy zarośiami szemrały miłosne szept i harmonia gdzieś grała sztajerka, albo sentymentalnego walczyka. Teraz po raz ostatni odwiedzali warszawianie las bielański. O świcie popędzono ich dalej bocznymi drogami w kierunku obozu w Pruszkowie. Niektórzy zdolali zbiec po drodze i akurat w przeddzień naszego przymusowego opuszczenia domu słyszeliśmy opowiadania tamtych, którzy już swoich domów nie mieli.

Mieszkaliśmy w jednym z ostatnich domów osiedla, dosłownie u samej granicy Warszawy. Osiedle bielańskie było jednym z najmłodszych w Warszawie i wybuch wojny zaskoczył je wśród pełnej rozbudowy. Wiele domów zostało niedokończonych. Stały teraz na nieuporządkowanych i parcelach z drzewiami i oknami zabitymi deskami, często bez dachów, wydając na słońce i wiatry puste wnętrza i nieotynkowane, czerwone mury. Wiele również terenów nie zdążono jeszcze zniwelować pod budowę. Pomiędzy zacisznymi uliczkami rozciągały się wertepy jałowe i piaszczyste. W jednym miejscu, po drodze z przystanku tramwajowego do naszego domu, rosło żyto zadziwiająco bujne i piękne, jak na tu-tęszą ubogą ziemię. Nigdzie w Warszawie, nawet na dalekim Mokotowie i na Sadybie Czerniakowskiej, nie było tak wspaniały jak na bielańskim osiedlu. Wystarczyło wysiąść z tramwaju na ostatnim przystanku, zaraz za CIWFem i znaleźć się na szosie modlińskiej, aby małe domki w ogródkach, ciżba i zapach lasu świerkowego, perspektywa drogi biegnącej ku Młocinowi i Łomiankom przeniosły w niemiejski całkiem pejzaż. W czasie wojny, gdy wyjazdy na letniska łączyły się z nielatynnymi do pokonania trudnościami, wielu warszawiaków właśnie na Bielanych szukało pokojów na letnie miesiące.

Do sławnego lasu bielańskiego i nad brzeg Wisły trzeba było od przystanku iść szosą, później skrócić za łotniskiem na prawo, już w las. Natomiast Osiedle rozbudowywało się bliżej i po stronie lewej. W przeciwieństwie do innych, nowych dzielnic Warszawy mało tu wyrosło dużych bloków, te zaś, które wzniesiono, stały prawie wycięzione przy ulicy Marymonckiej i przy szerokiej Alei Zjednoczenia. Dalej w głąb Osiedla krzyżowały się ze sobą wąskie już uliczki. Domki tam były małe, willowe i wszystkie z ogródkami. Wzdłuż niektórych uliczek ciągnęły się domki seryjne. Jak uroczą na przykład była ulica Grębałowska! Leżała w samym środku Osiedla, a jej białe domki z zielonymi żaluzjami stały wśród bujnych ogródków. Tam kwitły najpiękniejsze jaśminy i różowe migdały. Znowu nie opodał na Barlickiej pełno było przed willami żółtych i pasowych róż. A na Lipowej naprawdę rosły wielkie, rozłożyste lipy.

Najpiękniej było na Bielanych wiosną. Młodzieńskie łuzoy na wprost przystanku tramwajowego zakwitwały pewnego dnia zieloną mglistą i o zmierzchu, gdy żółte i fioletowe smugi nasycały pierwszym cieniem niebieskie niebo, białe pnie drzew, podobne do wiotkich cieni, edawały się płynąć wraz z pajęczyną zielonawych chmuręk poprzez klarowność cichego powietrza. Zaraz dalej zaczynał się park bielański. Był to gęsty i rozległy las, świerkowy przeważnie, lecz były w nim i drzewa liściaste, bujne polany i kwieciste łąki. Do tego lasu jeździł Marcin wczesną wiosną na swoje pierwsze spacer. Bardzo go interesowały drzewa, lecz gdy raz uknuł się w palec igłą świerkową, począł z wielką ostrożnością wyciągać rączki do gałęzi. Pół roku miał wtedy zaledwie. Ponięwał był opalony, kobiety, które ze swoimi dziećmi przyjeżdżały do lasu, nazywały go Murzynkiem. W lasu było zacisznie, a na polankach dużo słońca. Jedną z nich, bardzo rozległą, po brzegi zalewały kwiaty złotego deszczu. Ich ostry, gorzkawy zapach roznosił się daleko dokoła.

Kiedy sprowadziliśmy się na Bielany, czas był jeszcze chłodny, wiosny wcale prawie nie czuło się w powietrzu i pamiętam, że jadąc z rzeczami na furgonie zmarłem porządnie na marcowym, przenikliwym wietrze. Lecz niebawem nastąpiła pogoda i w kwietniu, w okresie świąt Wielkanocnych, wiosna zakwitła całym swoim urokiem. Wielki Piątek i Wielka Sobota były upalne. W te dni płonęło warszawskie ghetto. Nocami niósł się poprzez mrok i ciszę stuk maszynowych karabinów. Nikt z nas wówczas nie przypuszczał, że nie minie półtora roku, gdy ten sam los w gruzy i zgłiszczą obróci całe miasto. Wydawało się nam wtedy niepodobniem, aby ogromna dzielnica miasta zniknąć miała z powierzchni ziemi. Nad Wisłą, na polach koło Wawrzyszewa, kwitły tarniny. Bzy w ogródkach puszczały pierwsze paki a drzewa jabłonne, czereśnie i różowe kwiecia. Wtedy po raz pierwszy ujrzeliśmy na własne

oczy, czym się może stać siła zniszczenia. Słyszeliśmy już wprawdzie o bombardowaniach, które w ciągu kilku godzin całe dzielnice wielkich miast niemieckich zmieniały w gruz, lecz co innego znaczył słyszeć, co innego samemu ujrzeć. Dziękować należy tworzącym moce, że wyobraźnia człowieka jest tak ograniczona i wątła. Gdybyśmy bowiem to wszystko, co się działo kiedyś i dzieje się teraz mogli wyobrazić ogarnąć — życie nasze stałoby się jedną męczarnią i bezustannym cierpieniem. Na szczęście ani wieki minione, ani świat, w którym żyjemy, nie wnikały w naszą wyobraźnię dość głęboko i nie poruszają jej zbyt mocno. Niezmierzone otchłanie krzywdy, cierpienia i gwałtu zatrzymują się z mądrym umiarem u granic naszej wiedzy i losy, których nie jesteśmy świadkami, nie odbierają nam snu ani apetytu. Tylko naszej ograniczonej zawiądzamy możliwość życia. Tylko niewiedzy i niepamięci — szczęście.

Za naszym domem, gdzie jeszcze przed wojną rósł gęsty las sosnowy, ciągnęły się puste jałowe piaszki, za nimi pierwsze domy robotnicze Wawrzyszewa. Spomiędzy zielonych grabów przezielał biały zarosy barokowego kościółka. Był to uroczy kościółek, prawdziwie wiejski, jasny i pogodny. W tamtej również stronie biegła droga łącząca szosę modlińską z Wola i Powązkami. Była to jedyna droga, jaką widzieliśmy z okien naszego mieszkania i gdy się zaczęła akcja powstania, z ruchów wojsk niemieckich tamtejszy ciągnących usiłowaliśmy odgadnąć sytuację ogólną. Widzieliśmy niewielki tylko odcięcie drogi, biegnący skrajem wilgotnej łąki. Wczesną wiosną zbieraliśmy tam niezapominajki i kaczence. Z jednej strony droga wsizgiwała się pomiędzy wawrzyszewskie domy, z drugiej skręcała już w wysokie graby. Dzięki temu, a zapewne i dzięki oddaleniu, pejzaż ten na tyle szeroko rozpostarty go nieba sprawiał wrażenie dekoracji teatralnej. I również trochę jak na scenie przesuwały się przed nami dzień po dniu czoigi niemieckie, kolumny samochodowe w tłumach kurzu, tabory. Raz, przez dwa dni z rzędu maszerowały tamte od strony Modlina oddziały węgierskiej piechoty. Środkiem drogi ciągnęły tabory, pomęczeni żołnierze szli skrajem łąki. Byliśmy wówczas pewni, że to odwrót i Modlin lada chwila zostanie przez Rosjan zajęty. Ale trzeciego dnia czoigi i samochody znów poczęły pełzną ku północy. Wszystkie nasze obliczenia i wnioski były fałszywe.

Do końca nie wiedzieliśmy dokładnie, co się dzieje w mieście.

Z niektórych dzielnic, z Ochoty, z okolic placu Narutowicza, z Czerniakowa i z Powiśla żadne prawie wieści do nas nie docierały. Lecz ta niewiedza wspierała naszą nadzieję. Ze strychu naszego domu, poprzez małe okienko w dachu widzieliśmy pożary Warszawy i przy pomocy planu miasta, uzbrojeni w starą lornetkę teatralną, pamiętającą czasy Messalki, odgadywaliśmy niszczone dzielnice, place i ulice. Stare Miasto, Powązki, Koło i Wola widzieliśmy bardzo dokładnie. Natomiast śródmieście wskazywały nam dwa wysokie gmachy: drapacz chmur na placu Napoleona i telefonny przy ulicy Zielnej. Wola paliła się przez długi czas. Nad nami pięć razy dziennie przelatywały niemieckie eskadry. Dnie były piękne, słoneczne. Wyraźnie widzieliśmy pikujące nad miastem samoloty. Najczęściej wydawały się naloły przedwieczne. Pożary trwały do późnej nocy i w ciemnościach wysoko w niebo wstawała ogromna łuna. Przy jej odbłasku bywało czasem prawie widno. Pocięzaliśmy się wówczas, że na odległość pożary zawsze wydają się groźniejsze, niż są w istocie. Z niecierpliwością wypatrywaliśmy chmur. Pewnego dnia pogodno, niezmiennie mocno poczęło się zaciągać, aż wreszcie spadł rzęsyty, lecz krótki nieestety deszcz. Noc znowu się stała pogodna i rozjaśniona lunami.

Nad ranem ogłosił armat zza Wisły ożywały w nas nadzieje. O wszystkich rosyjskich docierały do nas najsprzeczniejsze wieści. Raz słyszeliśmy, że są bardzo blisko, w samym mieście nieomal, kiedy indziej krążyły mgliste pogłoski o klesce Czerwonej Armii i wycofaniu się jej aż pod Siedlce. Gdzieś około godziny dziewiętej, dziesiątej rano guche dudnienie artylerii milko i zalegała cisza dręcząca i beznadziejna. Łatwo można się było domyślić, że atak rosyjski raz jeszcze został odparty. Czekaliśmy nowy dzień trochę i niepokojów, nowe godziny niepewności. Gubiliśmy się w strategicznych dociekaniach i ślepych domysłach i przewidywaniach. Znowu w chwilach pogodniejszych snuliśmy plany, jak pewnego dnia, gdy Niemcy wreszcie się cofną, wyruszymy do Warszawy odszukiwać najbliższych i przyjaciół. Niepodobniem się nam wydawało już nigdy nie móc ujrzeć Warszawy, jej ulic i domów, placów i skwerów. Lecz tak się właśnie stało. Tej Warszawy, która była, nigdy już nie mieliśmy zobaczyć. I wielu najbliższych i wielu przyjaciół także już nigdy nie mieliśmy odnaleźć.

Dni tymczasem mijały. Każdy dzień poszczególny upływał bardzo szybko. Dopiero spojrzenie wstecz na ich ilość już rozciągniętą na tygodnie przejmowało zdumieniem i lękiem. Przez długie pięć lat czekałymi na wolność. Teraz, gdy się zaczęła o nią ostateczna, jak sądziliśmy, walka, mierzyliśmy czas miarą naszego niepokojów, zmęczenia i niecierpliwości. W drugim tygodniu powstania, ostatnie dni lipca, kiedy ruchy wojsk niemieckich zapowiadały ewakuację miasta, wydawały się tak odległe, jakby pomiędzy nimi a nami wyrosł obrzydliwy smat czasu. Nie mieliśmy nic do roboty poza czekaniem. Było w nas tyle nadziei, ile niepewności i lęku. Ciągłe panowali nad nami Niemcy i od ich kaprysu zależał nasz los, nasze życie. Byliśmy bezbronni i pierwszy lepszy żołnierz mógł z nami uczynić wszystko. Od połowy sierpnia własowcy poczęli Bielany palić. Z części Osiedla usunięto wszystkich mieszkańców i palono systematycznie dom po domu. Myśmy mieszkali na krańcu przeciwnym, więc nas na razie zostawiono.

Pod wieczór pewnego dnia — był to 17 sierpień — przechodziły koło naszego domu tłumy wysiedlonych z tobojami: kobiety z dziećmi na rękach, niemowlęta w wózkach, starcy. W oddali płonęły pierwsze willowe domy. Czarne kłęby dymu biły w górę, a w tę czarną, groźną chmurę raz po raz wślizgiwały się ostre i jadowite języki ognia. Jeszcze nie wiedzieliśmy wówczas, że nie będziemy na razie objęci akcją wysiedleńczą. Staliśmy więc przed domem z naprędce upakowanymi tobotami, oczekując swojej kolei. Wieczór był piękny i ciepły, pachniało mactejką. Nikt z nas nie wiedział, gdzie się na najbliższą noc podziemy i co będziemy dalej robić.

W takich chwilach nie planuje się niczego i nie myśli się o niczym. Myśli się o drobniaczkach. Marcin leżał w swoim wózku i pod sterłą w pospiechu rzuconych piaszczy i pleców wydawał się mniejszy niż zwykle. Nie miał jeszcze wtedy roku. Już na gołe przed domem dośłał swoją wieczorną porcję mleka i teraz syty i trochę senny rozglądał się dokoła zadziwionymi oczami. Niszczono Bielany powoli, więc ludziliśmy się, że do naszego ostatniego domu akcja palenia nie zdąży już dzisiaj dotrzeć. Rzeczywiście tak się stało.

Lecz dom przestał być domem. Mieszkaliśmy byle jak, na piętrze i w piwnicy wśród tobołów przygotowanych do ruszenia w drogę. Dużo rzeczy, których ze sobą nie mogliśmy zabrać, zakopywaliśmy w ziemię. Wszyscy dokoła w swoich ogródkach robili to samo. Liczyło się wówczas, że nawet w razie wysiedlenia, bezdomność nasza nie będzie trwać długo i jeszcze przed zimą i jesiennymi siołami wrócić będzie można do siebie. Poszły więc do ziemi wszystkie prawie moje rękopisy i notatki, różne pamiętki, fotografie, listy — wiele lat przeszłości, drobiazgi, bez których można wprawdzie żyć, lecz których strata pozostawia niczym niezapelnioną pustkę. Martwi mnie nieraz, że mój syn nigdy nie będzie wiedział, jak wyglądali jego dziadkowie ani własny jego rodziec z czasów jego dzieciństwa i młodości. Nie chciałbym, aby wyrosł na człowieka, który potrzebuje do życia tylko przedmiotów codziennej użyteczności. Mój dziecinny niedzwiedz z różową kokardą, wenecka mozaika i drewniany chrystusik z kieleckiego cmentarza nie są mi wprawdzie tak potrzebne jak stół, krzesło i łóżko, lecz ich obecność upiększa mój stół, krzesło i łóżko. Pamiętam, z jakim wzruszeniem jeszcze w czasie okupacji oglądałem pewnego razu stare zdjęcia mojej matki i jak dzięki fotografiom dawne życie mojej żony otwierało przede mną nieznaną mi dotąd pejzaże, domy i mieszkania, w których ona żyła, zarzys twarzy i postaci, które jej były bliskie i coś dla niej znaczyły. Z żalem więc myślę, że gdy mój syn dorosnie — przeszłości nie odsłoni przed nim ani jednego dawnego kształtu.

Szło tymczasem ku jesieni. Dnie stawały się coraz krótsze, a noc chłodne i ranki mgliste. Nie wolno nam było wychodzić z domów. Po wodę chodziliśmy nie opodał poprzez sąsiednie ogródki, okna mieszkań były zamknięte i nie paliło się żadne światło. Poza wczesnymi godzinami rannymi, kiedy ludzie wymykali się chyłkiem z domów, aby dostać gdzieś chleba i mleka, po ulicach chodzili tylko żołnierze. Byli różnych narodowości i formacji: Niemcy, Węgrzy, Słowacy, Ukraińcy, Kozacy. Żołnierze byli najczęściej pijani i wódką łatwo ich było przekupić. Grabili i kradli, co się dało. Zegarki, pieniądze, papierosy, mydło, bielizna, ubrania. Przy większych pijaństwach gwałcono kobiety. Związane własowcy to lubili. Wieczorami słyhać było z daleka ich tęskne, zawodzące śpiewy. Odgłosy podkutek butów budziły z płytkiego snu. W dzień żandarmeria obstawiała opustoszałe uliczki i z domów wyciągano mężczyzn i młode kobiety. Samotność nasza była równie straszna, jak bezsilność. Tylko nocami podchodziliśmy pod osiedle bielańskie patrolce z wolnego i niepodległego Żoliborza. Również nocami przedzierały się tędy oddziały AK, ukrywające się do tej pory w puszczy kampsinowskiej. Salwy z automatów i terkot karabinów maszynowych niespodziewanie rozbrzmiewały wśród ciemności rozjaśnianych ogniami rakiet. Czekaliśmy wówczas wyzwolenia. Odczuliśmy od nas mimo całego naszego śmiertelnego znużenia sen i

lękami. Przez długie pięć lat czekałymi na wolność. Teraz, gdy się zaczęła o nią ostateczna, jak sądziliśmy, walka, mierzyliśmy czas miarą naszego niepokojów, zmęczenia i niecierpliwości. W drugim tygodniu powstania, ostatnie dni lipca, kiedy ruchy wojsk niemieckich zapowiadały ewakuację miasta, wydawały się tak odległe, jakby pomiędzy nimi a nami wyrosł obrzydliwy smat czasu. Nie mieliśmy nic do roboty poza czekaniem. Było w nas tyle nadziei, ile niepewności i lęku. Ciągłe panowali nad nami Niemcy i od ich kaprysu zależał nasz los, nasze życie. Byliśmy bezbronni i pierwszy lepszy żołnierz mógł z nami uczynić wszystko. Od połowy sierpnia własowcy poczęli Bielany palić. Z części Osiedla usunięto wszystkich mieszkańców i palono systematycznie dom po domu. Myśmy mieszkali na krańcu przeciwnym, więc nas na razie zostawiono.

Pod wieczór pewnego dnia — był to 17 sierpień — przechodziły koło naszego domu tłumy wysiedlonych z tobotami: kobiety z dziećmi na rękach, niemowlęta w wózkach, starcy. W oddali płonęły pierwsze willowe domy. Czarne kłęby dymu biły w górę, a w tę czarną, groźną chmurę raz po raz wślizgiwały się ostre i jadowite języki ognia. Jeszcze nie wiedzieliśmy wówczas, że nie będziemy na razie objęci akcją wysiedleńczą. Staliśmy więc przed domem z naprędce upakowanymi tobotami, oczekując swojej kolei. Wieczór był piękny i ciepły, pachniało mactejką. Nikt z nas nie wiedział, gdzie się na najbliższą noc podziemy i co będziemy dalej robić.

W takich chwilach nie planuje się niczego i nie myśli się o niczym. Myśli się o drobniaczkach. Marcin leżał w swoim wózku i pod sterłą w pospiechu rzuconych piaszczy i pleców wydawał się mniejszy niż zwykle. Nie miał jeszcze wtedy roku. Już na gołe przed domem dośłał swoją wieczorną porcję mleka i teraz syty i trochę senny rozglądał się dokoła zadziwionymi oczami. Niszczono Bielany powoli, więc ludziliśmy się, że do naszego ostatniego domu akcja palenia nie zdąży już dzisiaj dotrzeć. Rzeczywiście tak się stało.

Lecz dom przestał być domem. Mieszkaliśmy byle jak, na piętrze i w piwnicy wśród tobołów przygotowanych do ruszenia w drogę. Dużo rzeczy, których ze sobą nie mogliśmy zabrać, zakopywaliśmy w ziemię. Wszyscy dokoła w swoich ogródkach robili to samo. Liczyło się wówczas, że nawet w razie wysiedlenia, bezdomność nasza nie będzie trwać długo i jeszcze przed zimą i jesiennymi siołami wrócić będzie można do siebie. Poszły więc do ziemi wszystkie prawie moje rękopisy i notatki, różne pamiętki, fotografie, listy — wiele lat przeszłości, drobiazgi, bez których można wprawdzie żyć, lecz których strata pozostawia niczym niezapelnioną pustkę. Martwi mnie nieraz, że mój syn nigdy nie będzie wiedział, jak wyglądali jego dziadkowie ani własny jego rodziec z czasów jego dzieciństwa i młodości. Nie chciałbym, aby wyrosł na człowieka, który potrzebuje do życia tylko przedmiotów codziennej użyteczności. Mój dziecinny niedzwiedz z różową kokardą, wenecka mozaika i drewniany chrystusik z kieleckiego cmentarza nie są mi wprawdzie tak potrzebne jak stół, krzesło i łóżko, lecz ich obecność upiększa mój stół, krzesło i łóżko. Pamiętam, z jakim wzruszeniem jeszcze w czasie okupacji oglądałem pewnego razu stare zdjęcia mojej matki i jak dzięki fotografiom dawne życie mojej żony otwierało przede mną nieznaną mi dotąd pejzaże, domy i mieszkania, w których ona żyła, zarzys twarzy i postaci, które jej były bliskie i coś dla niej znaczyły. Z żalem więc myślę, że gdy mój syn dorosnie — przeszłości nie odsłoni przed nim ani jednego dawnego kształtu.

Szło tymczasem ku jesieni. Dnie stawały się coraz krótsze, a noc chłodne i ranki mgliste. Nie wolno nam było wychodzić z domów. Po wodę chodziliśmy nie opodał poprzez sąsiednie ogródki, okna mieszkań były zamknięte i nie paliło się żadne światło. Poza wczesnymi godzinami rannymi, kiedy ludzie wymykali się chyłkiem z domów, aby dostać gdzieś chleba i mleka, po ulicach chodzili tylko żołnierze. Byli różnych narodowości i formacji: Niemcy, Węgrzy, Słowacy, Ukraińcy, Kozacy. Żołnierze byli najczęściej pijani i wódką łatwo ich było przekupić. Grabili i kradli, co się dało. Zegarki, pieniądze, papierosy, mydło, bielizna, ubrania. Przy większych pijaństwach gwałcono kobiety. Związane własowcy to lubili. Wieczorami słyhać było z daleka ich tęskne, zawodzące śpiewy. Odgłosy podkutek butów budziły z płytkiego snu. W dzień żandarmeria obstawiała opustoszałe uliczki i z domów wyciągano mężczyzn i młode kobiety. Samotność nasza była równie straszna, jak bezsilność. Tylko nocami podchodziliśmy pod osiedle bielańskie patrolce z wolnego i niepodległego Żoliborza. Również nocami przedzierały się tędy oddziały AK, ukrywające się do tej pory w puszczy kampsinowskiej. Salwy z automatów i terkot karabinów maszynowych niespodziewanie rozbrzmiewały wśród ciemności rozjaśnianych ogniami rakiet. Czekaliśmy wówczas wyzwolenia. Odczuliśmy od nas mimo całego naszego śmiertelnego znużenia sen i

z ciemnych mieszkań, z piwnic nasłuchiwalimy z niepokojem, jak gdzieś w głębi mroku nateją się, siabnie i znowu się nasila walka. Pragnęliśmy przybycia powstańców równie gorąco, jak lękaliśmy się, że opanowawszy Bielany mogliby się z nich później wycofać. Raz już tak było.

Powstanie trwało na Bielanych trzy zaledwie dni. Wolność zaskoczyła nas znieczeka, wśród codziennych zajęć. Po południu owego 17 sierpnia, gdzieś pomiędzy czwartą i piątą, zaczęło nagle w poprzek ulicy Szregera, nie opodał naszego domu, kopac rów i wznosić barykadę. Gdzieś dalej rozległy się pierwsze wystrzały. Niebawem przed naszym domem zjawili się trzech mężczyzn w cywilu, z białoczerwonymi przepaskami na ramieniu. Uzbrojeniem każdego był granat i butelka z naftą. Z tą bronią mieli iść na czołgi i karabiny maszynowe. Lecz na razie nikt z tych, którzy na rozkaz do walki stanęli, o tym nie myślał. W wielu mieszkach rozbrojono już zaskoczonych niespodziewanie Niemców. Nie opodał nas kilkunastoletni chłopiec zatrzymał ciężarówkę z ładunkiem konserw mięsnych i papierosów. Entuzjazm był wielki. Zaczęto rozdzielać pomiędzy ludność pierwszą wojenną zdobycz. Ludzie z tryumfem i z podnieceniem nieśli do domów swoje przydziały. Kończono pośpiesznie kopanie rowów. Siekierami przecinano druciane parkany pomiędzy parcelami. Nim zapadł zmierzch, na piaszkach przed naszym domem rozgorzała krótka walka pomiędzy kilkunastoma powstańcami i garstką żołnierzy niemieckich zaskoczonych w polu. Wkrótce Niemcy wycofali się. Wśród naszych było kilku rannych i jeden zabity. Zapadła potem noc, pierwsza po długich latach noc wolności: cicha i bezenna. Któż zdoła odtworzyć teraz wiernie myśli, jakie kłębiły się wówczas w głowie, wszystek tamten niepokój, całą nadzieję i wątpliwość, czy jeszcze raz w naszych dziejach nie chwycono za brzoń przedwcześnie i lekkomyślnie?

Wiedzieliśmy, że Niemcy zabarykadowali się w CIWFie, a jego zasieków i ogromnych bloków nie zdobędzie garstka chłopców uzbrojonych w kilka rozpylaczy i granatów. Dowódca naszego oddziału czekał na pomoc. Miała podobno przyjść z puszczy kampsinowskiej. Nie przyszła ani w nocy, ani dnia następnego. Na Bielanych trwała cisza. Padał deszcz. Tylko z daleka od strony Żoliborza dobiegały odgłosy kanonady. Zdobyty wczoraj ciężarówkę zabrali trzej niemieccy żołnierze. Nikt ich nie przeszkodził. Odjechali na niej. Powstańcy poczęli się przedzierać na Żoliborz. Kilkunastu chłopców, którzy pozostali, ukryło się w wielkim bloku nie opodał naszego domu. I dopiero trzeciego dnia wybuchła nagle gwałtowna, sześciogodzinna walka. Dwa ciężkie niemieckie czoigi ostrzeliwały grupę powstańców, którzy nad ranem przedarli się byli z lasów i zajęli jeden z domów przy ulicy Żeromskiego. Ta walka przypominała nieco zabawę w chowanego. Powstańcy byli dobrze uzbrojeni, przenosili się z miejsca na miejsce i nieustannie atakowali czoigi z niespodziewanych kierunków. Strzelanina trwała do późnego popołudnia. Na koniec czoigi wycofały się, podpalając kilkanaście domów wawrzyszewskich. Niebawem, już w nocy, dowiedzieliśmy się, że oddział z lasu opuścił Bielany. Zostaliśmy sami. Najazutrz wczesnym rankiem wojsko niemieckie z powrotem objęło Bielany w posiadanie. Pod naszymi oknami rozstrzelano pięciu z bronią schwytanych chłopców. Potem z działka lekkiego kalibru ostrzelano dom, który pierwszego dnia był kwatery powstanczego oddziału. To było wszystko.

W półtora miesiąca później opuszczaliśmy dom. I na nas przyszła wreszcie kolej. W tym okresie front rosyjski zbliżył się ku samej Wisie i nie spalała dotychczas część Bielana obejmowała wojsko. Była to połowa września i wieczór równie pogodny i ciepły, jak ten sprzed miesiąca, kiedy po raz pierwszy staliśmy przed domem gotowi do drogi. Znowu ulica koło nas zaludniła się ludźmi z tobotami i znowu wśród nieflekskawego zmierzchu niosły się tu i tam chrapliwe krzyki żandarmów. Lecz ileż się od tego czasu zmieniło! Akurat poprzedniego dnia padł dolny Żoliborz. Przedtem widzieliśmy pożar zdobytego Marymontu. Stare Miasto broniło się ostatkiem siły. To były klęski, o których wiedzieliśmy. A o ilu nie wiedzieliśmy nic, lub bardzo niewiele? W ostatnich dniach rzadko już chodziliśmy na strych i przez okienko w dachu spoglądaliśmy na dalekie pożary. Wiedzieliśmy, że płonie całe miasto, dzielnica po dzielnicy. Od sześciu tygodni szalały pożary. Każda noc przynosiła te same łuny. Pancerny pociąg z dworca Gdańskiego i „krowy“ z Piasków koło Powązek ostrzeliwały Żoliborz i Stare Miasto. Na miasto waliły się pociski najcięższej artylerii. Bombowce co kilka godzin nadlatywały od strony Modlina. Rządziej już mówiliśmy o dniu, w którym będziemy mogli pójść do miasta. Czekaliśmy na inną drogę, jeszcze niewiadomą, lecz coraz natarczywiej narzucająca naszym myśłom swoje nieodgadnione przestrzenie.

Jerzy Andrzejewski

*) Fragment z „Książki dla Marcina“.

JERZY PILLEMENT

Teatr literacki we Francji

Współczesny teatr literacki we Francji należy wywieść z okresu szczególnie świętego dla jego rozwoju — kiedy Paul Fort tworzył swój Théâtre d'Art (Teatr Artystyczny), jako reakcję przeciw realizmowi, święcącemu wówczas tryumfy w Théâtre Libre Antoine'a. Théâtre Libre był awangardowym teatrem epoki, Théâtre d'Art odgrywał rolę teatru literackiego. Pisali dlań poeci i powieściopisarze, którzy — nie związani z ówczesnym ruchem dramatycznym — chcieli tworzyć dla sceny.

Było to w roku 1890. Paul Fort, podówczas jeszcze uczeń gimnazjalny, miał zaledwie lat siedemnaście. Autorzy, do których się zwracał, to byli wyłącznie poeci. Ich nazwiska: Verlaine, Mallarmé, Verhaeren, Maeterlinck, Saint-Paul Roux, Henri de Régnier, Moréas. Dekoracje zamawiał u najbardziej nowoczesnych malarzy swego czasu: Gauguina, Emila Bernarda, Serruzera, Maurice'a Denis, Odilon Redona, Henri de Groux, Anquetina, Bonnarda, Vuillarda, Roussela.

Jego teatr reprezentował estetykę symbolistyczną, powstającą przeciw estetyce naturalizmu. Tekst literacki górował nad życiem, poezja nad rzeczywistością.

Paul Fort wystawił sztuki Maeterlincka: „L'Intruse“, „Les Aveugles“ (Ślepcy), „Pelléas et Mélisande“, „La Dame à la Faulx“ (Dama z kosą) — Saint-Paul Roux'a; „Les Uns et les Autres“ (Jedni i drudzy) Verlaine'a; „Axel“ — Villiers de L'Isle Adama; „Théodat“ — Rémy de Gourmonta; „La Voix du Sang“ (Głos krwi) — Rachilde'a; „La Fille aux mains coupées“ (Dziewczyna z obciętymi dłońmi) — Quillarda; „Chérubin“ — Charles Morice'a; „Le Florentin“ — La Fontaine'a; „Les Cenci“ — Shelley'a; „Le Faust“ — Marlowe'a; przeróbki sceniczne takich poematów, jak „Kruk“ Edgara Poe, „Le Concile féérique“ — La Forgue'a czy średniowiecznych eposów rycerskich (chansons de gestes).

Wiemy, że po trzech latach wysiłków Paul Fort rozstał się z Théâtre d'Art, aby bez reszty poświęcić się poezji, powierzając jego kierownictwo Lugué'owi, który przekształcił go w „L'Oeuvre“; wiemy też, jaką rolę odegrał ten teatr w awangardowym teatrze epoki.

Choć „Ballady francuskie“ przyniosły mu sławę i wyświećły na „księcia poetów“, Paul Fort nie wyzrekił się swojej pasji do teatru. Zaczął pisać cykl „Chroniques de France“, w którym udratmizował epizody z naszej historii: „Louis XI, curieux homme“ (Ludwik XI, ciekawy człowiek), grany w Odeonie, i „Les Compères du roi Louis“ (Kumowie króla Ludwika), grane w Comédie Française, osiągnęły największe powodzenie spośród tych plastycznych i barwnych fresków.

Inni pisarze epoki symbolistycznej, w okresie, którym się zajmujemy, a który obejmuje lata 1914—46, nadal tworzyli dla sceny. A więc naprzód Claudel. Choć jego teatr jest typowym teatrem literackim, umieszczamy go wśród pisarzy awangardowych dlatego, że wniósł do dziedziny estetyki teatralnej nowe elementy. Czy jednak André Gide nie jest z nich wszystkich „największy“? Jego dzieła dramatyczne „Saül“ i „Le roi Candale“ wyprowadzają naszą epokę, jeśli wziąć pod uwagę datę ich powstania, a nie wystawienia. Coepau pokazał je w teatrze „Vieux Colombier“. Marcel Herrant zagrał potem „Le retour de l'enfant prodigue“ (Powrót syna marnotrawnego) i „Le treizième arbre“ (Trzynaste drzewo). Sztuki André Gide'a, odpowiadające w pełni koncepcji teatru literackiego, który nie uznaje ustępstw na rzecz wymagań sceny i słowo stawia wyżej niż grę aktora — narzucają się przecież pięknem języka i głębią myśli.

Przyjaciele Gide'a, których też pociągają teatr, będą bliżsi życia. Po sztukach („L'Eau-de-vie“ — Wódka, i „Le Pain“ — Chleb), powołujących się na popularny symbolizm o tendencjach społeczno-moralizatorskich, Henri Ghéon poświęca się w zupełności teatrowi religijnemu, inspirowanemu przez dawne misteria, tworzy dzieła realistyczne i natchnione zarazem, jak np. „Le Pauvre sous l'Escalier“ (Złoty pod schodami) — sztuka, której przynano wartości sceniczne. Inny pisarz symbolista, Edward Dujardin, którego sztuki zdobyły swego czasu wielki rozgłos w kręgach literackich, wytrwał przy teatrze, zmieniając jednak gruntownie sposób pisenia. Po trylogii „Antonia“, która była odbiciem najczystszej estetyki symbolizmu, przychodzi takie dramaty, jak „Marthe et Marie“ czy „Les Epoux d'Heurel-Port“, dalej sztuki inspirowane przez studia nad początkami chrześcijaństwa i historią religii: „Le Mystère du dieu mort et ressuscité“ (Tajemnica boga zmarłego i zmartwychwstałego) i „Le retour éternel“ (Wieczny powrót) — dzieła o dużej doniosłości filozoficznej, pisane językiem spokojnym i krasomówczym.

Saint-Georges de Bouhélier to dość skomplikowana indywidualność, nie związana z wielkimi prądami współczesnymi. De Bouhélier jest wraz z Eugeniuszem Montfort twórcą szkoły literackiej — natu-

ryzmu, usiłującego nadać naturalizmowi zabarwienie poetyckie — naturalizmowi wyidealizowanego. A więc tworzy kolejno: „La Victoire“ (Zwycięstwo), „La Tragédie du Nouveau Christ“ (Tragedia Nowego Chrystusa), „Le Carnaval des Enfants“ (Karnawał dzieci), „La vie d'une femme“ (Życie pewnej kobiety) — przyziemna codzienność rozciąga się tu w marzeniu i feerii, zwyczajni pracownicy przeobrażają się w bohaterów eposu. Przeszedłszy przez ogień ostrych dyskusji sztuki jego zdobyły sobie szczerzych zwolenników. Po tych, jak je sam nazywa, epopejach rzeczywistości, de Bouhélier poświęca się odtańczeniu wielkich obrazów historycznych, za centralne postaci obierając kolejno Dantona, Joannę d'Arc, Napoleona, Ludwika XIV — co pozwala mu na tle epoki uwypuklić jakiś niezwykły charakter.

Teatr ideologiczny, w zaraniu epoki, którą się zajmujemy, przyniósł nam Edwarda Schneidera („Les Mages sans Etoiles“, — Magowie bez gwiazd, „Le Dieu d'Argile“ — Gliniany Bóg) i Marię Le-nér, wyjątkową kobietę, która w „Les affranchis“ (Wyzwoleni), „Le Redoutable“, „La Conquérante“ (Zdobyczyni), „La Maison sur le Roc“ (Dom na skale), „La Paix“ (Pokój) — z egzaltacją porusza najważniejsze zagadnienia moralne.

Dramaturgia wierszowana zajął ją żywym blaskiem przed 1914 r., kiedy to „Cyrano“, „L'Aiglon“ i „Chantecler“ Edmunda Rostanda zdobyły szeroki ogół publiczności. Ale nie tylko Rostand pisał swoje sztuki wierszem. Jean Richepin na przemian posługiwał się wierszem i prozą, największe powodzenie osiągając w 1899 r. swoim „Le Chemineau“ (Włóczęga), granym w Odeonie. Byli jeszcze Catulle Mendès, Edmond Haraucourt, Anatole France („Les Noces corinthiennes“), Auguste Dorchain, Albert Samain („Polyphe“, Maurice Bouchor, Jean Aicard, Fernand Gregh, Valmy — Baysse, Buillot de Saix, Miguel Zamacois („Les Bouffons“), Gabriel Nigond, André Rivoir, René Fauchois, André Dumas, Maurice Magre, Léo Languier i Jacques Richepin.

Po wojnie 1914 r. sztuki wierszowane straciły swój prestiż. Spośród autorów, którzy pozostali

im wierni, tylko Maurice'owi Rostand i François Porché udało się pozyskać względy publiczności.

Franciszek Porché był prawdziwym dramaturgiem i autentycznym poetą. Używał miary gętkiej, przeplatając aleksandryn i ośmiozłogowice wierszami wszystkich metrów. Satyrę łączył z liryką i roztaczał duże bogactwo pomysłów i życzności, aby narzucić nieuznaną formę. Należy ubolewać, że tak rzadko pisał prozą. W „La Dauphine“ (Następczyni tronu), „Le Chevalier Colomb“, „Jeanne d'Arc“ daje się ponieść werwie poetyckiej. W „Un Roi, deux Dames et un Valet“ (Król, dwie damy i giermek) posługuje się wyłącznie prozą. Z dużą znajomością psychologii stwarza dwa przeciwstawne sobie typy — popędliwą Madame de Montespan i przebiegłą Madame de Maintenon, której uda się usunąć rywalek.

Gdy Franciszek Porché miał ambicję, aby odświeżyć ten rodzaj teatru, Maurice Rostand poprzedził na puściznie ojca. Nie obawiając się śmieśności pisał najlichszym wierszem. Tematem jego sztuk są wielkie postaci z historii współczesnej („Napoleon IV“, „Roi de France“, „Général Boulanger“, „Le dernier Tsar“).

Paul Raynal, choć nie pisał wierszem, jest niemniej jednym z najbardziej wybitnych liryków sceny francuskiej. Wymienimy przede wszystkim „Le Tombeau sous l'Arc de Triomphe“ (Grób pod Łukiem Tryumfalnym) i „La Francerie“, dzieła, ożywione ścią kornelowskim duchem. Bohaterstwo wojny 1914 r. znalazło w ich autorze najbardziej wzruszającego rzecznika.

Tragedia starożytna już z końcem ubiegłego stulecia przeżyła dzięki teatrom plenerowym coś w rodzaju odrodzenia. Najbardziej udałe sztuki w tym rodzaju to: „Iphigénie“ — Moréasa, „Les Phéniennes“ — Georges Rivolléta, „La Penthésilée“ — Alfreda Mortier, „la Prométhée“ — Péladana, który napisał też „Babylone“ i „Sémiramis“. Były to wniosłe adaptacje lub naśladownictwa sztuki antycznej. Sztuczny ten rodzaj zanikł zupełnie; jeśli dziś odżywa, to w zupełnie innej odmianie — nie widać już troski o koloryt lokalny,

jest natomiast głęboki wydzik ludzki i filozoficzny, jak np. w „Antygonie“ — Anouilha, „Mouchach“ Sartre'a czy „Kaliguli“ — Camusa.

Sztuki wierszowane i tragedia starożytna są pozostałościami pradów wcześniejszych — nasza epoka poznała nową formę teatru, która na razie zaledwie się zarysowuje, a która ma przed sobą wielką przyszłość — jest nią teatr rewolucyjny — teatr dla ludu.

Teatr naszej epoki był w istocie swej mieszczański — tworzyli go autorzy-mieszczanie dla publiczności mieszczańskiej. Ale już z początkiem tego wieku były umysły, które jasno rozumiały, że teatr nie może być nadal udziałem uprzywilejowanej klasy, że powinien do-trzeć do mas. Maurice Pottecher odważył się pierwszy zrealizować teatr dla ludu. W roku 1892, w setną rocznicę powstania Republiki, Pottecher organizuje w małym miasteczku w Wogezach, Bussang, przedstawienie „Lekarza mimo woli“, w gwarze mozelejskiej. Impreza tak się udała, że odtąd plenerowy teatr w Bussang dawał co roku przedstawienia sztuk historycznych czy też opartych na legendzie, których autorem był najczęściej Pottecher. Potem wiele prób w Paryżu, Théâtre du Jorat w Szwajcarii, teatr Schillera w Berlinie dowiodły, jakich sukcesów można oczekiwać od podobnego teatru, którego repertuar, choć niezbyt rozległy, obejmuje przecież dzieła różnorodne, zaczerpnięte z teatru klasycznego. Znajdują się w nim komedie Molière'a i „Mariage de Figaro“, „Turcaret“ — Le Sage'a, dramaty Schillera, Calderona, Lope de Vega. Z teatru współczesnego można również wymienić parę pozycji: „Tkaczy“ — Hauptmanna, „Potęgę ciemnoty“ — Tolstoja i kilka sztuk z repertuaru Théâtre Libre.

Ale ich liczba jest jeszcze skromna. Dlatego też Romain Rolland, który wcześniej zainteresował się teatrem ludowym, poświęcił mu entuzjastyczną, dokumentarną rozprawę. Jego ambicją było uducha-twić niektóre epizody z Rewolucji Francuskiej. Sukces, z jakim się spotkały te jego sztuki, zwłaszcza „14 lipca“ w 1936 r., świadczy o sile zawartego w nich

rewolucyjnego wstrząsania. „Les Louts“, „Danton“, „Le Jeu de l'Amour et de la Mort“ w nie mniejszym stopniu poruszyły tłumy. Ale najlepszą z tych sztuk jest bezsprzecznie „Robespierre“, opublikowany w 1939 r., w wigilię wojny, do dziś nie wystawiony we Francji. Żaden z dramatów, czerpiących temat z Rewolucji, nie został napisany z równą mocą i umiarem, z równą troską o prawdę psychologiczną każdej postaci, z równą siłą wzruszenia.

Romain Rolland napisał jeszcze sztukę symboliczną o tendencji satyrycznej, skierowaną przeciw wojnie — „Liluli“. Można ją przyrównać do sztuki Leona Moussinac i Vaillant Couturiera „Le Père Juillet“. Jest to pocieszna i pomyślna farsa, pod niewątpliwym wpływem „Ubu Roi“ — najbardziej oryginalny utwór w dzisiejszym teatrze rewolucyjnym.

Poznajemy tu rodzinę Juillet, która ma symbolizować różne aspekty triumfującej burżuazji, z jej próżnością, zarozumiałstwem, egoizmem, z jej szablonoowymi poglądami i powiedzonkami. Apoteza Ojca Juillet, jego śmierć, otwarcie testamentu dają w sumie barwne i pełne fantazji widowisko. Należy żałować, że nie widzieliśmy tego na scenie.

Drugim po Romain Rollandzie autorem dramatycznym, piszącym z myślą o masach, był Jean-Richard Bloch. Wystawił on w Odeonie sztukę „Le dernier Empereur“, w której władca występuje przeciw swemu konserwatywnemu otoczeniu, staje po stronie rewolucjonistów, i ginie w ich szeregu. Następna sztuka Blocha jest „Nais-sance d'une Cité“ (Narodziny państwa), gdzie chóry i zespoły aktorów mają symbolizować fazy tworzenia się zbiorowej świadomości. W 1945 r. Bloch wystawia w Odeonie „Toulon“. Tu w formie widowiska ludowego odtwarza autor dramat marynarki francuskiej, która wolała raczej zginać niż oddać flotę w ręce wroga.

Wspomnijmy jeszcze o „La Fuite“ (Ucieczka) Tristana Tzara, poemacie dramatycznym, w 1945 r. parokrotnie recytowanym w Vieux Colombier, którego długie okresy liryczne nie usiłują odtworzyć rzeczywistości, lecz, jak u Claudela,

poddawać głębokie nastroje. Nie przypominają one w niczym pierwszych sztuk ojca dadaizmu: „Les Aventures célestes de Monsieur Antipirine“, „Le Coeur à Gaz“ czy „Le Mouchor de Nuages“, absurdalnych i pociesznych, których celem było przede wszystkim wywołanie skandalu i negacja przyjętych wartości.

Nie należąc do świata rewolucyjnego i nie zamierzając tworzyć teatru ludowego, Pierre Hamp porusza w swych sztukach ideologiczne i społeczne konflikty naszej doby, brak mu jednak nerwu dramatycznego i zmysłu dialogu. Jego postaci używają języka sztucznego, mówią wiele, wygłaszając tezy i dość niejasne poglądy na tle często naiwnej intrygi, jak np. w „Madame la Guerre“ czy w „Monsieur l'Administrateur“.

Claude Anet, autor „Ariany“, napisał również dwie sztuki teatralne — jego „Mademoiselle Bourrat“ jest jedną z najbardziej udatych satyr na obyczaje mieszczańskiego środowiska na prowincji.

Farsy Jeana Gaumonta i Camille'a Cè, jak np. „L'Homme qui ne veut pas mourir“ (Człowiek, który nie chce umrzeć) przypominają sztuki Jean-Victor Pellerina, najciekawszego z autorów odkrytych przez Gastona Baty.

Baty był bezsprzecznie jedynym z wielu dyrektorów teatru, który swojej sztuce nadał koncepcję najbardziej literacką. Nie był aktorem — sam tworzył dla sceny; robił nie tylko przeróbki powieści („Madame Bovary“), ale napisał również pełną fantazji i finezji sztukę „Don Kichota“.

Podobnie jak „Théâtre d'Art“ Paul Forta, „Chimera“ Baty'ego była ruchem wybitnie literackim, który odegrał ważną rolę w ewolucji teatru współczesnego, ale szybko się wy-czerpał. Baty, zniechęcony bezskutecznym poszukiwaniem sztuk, które by odpowiadały jego upodobaniom, musiał arcydzieła dramatu i powieści naginać do swojej koncepcji.

Teatr „Chimery“ był teatrem wrażeń; teatr ideologiczny — po François Curelu, który z „Théâtre Libre“ przeniósł go z powodzeniem na grunt teatru bulwarowego — znalazł pasjonującego się nim przedstawiciela w osobie Gabriel Marcela. Ten umiał się zadowolić szczupłym audytorium. Jego przenikliwy i bystry umysł zatrzymał się na tych przypadkach, które uznał za ciekawe i przykuwające. W „Le Coeur des Autres“ np. widzimy literata, któremu najbliżsi służą jako przedmiot analizy psychologicznej; w „Le Regard neuf“ przedstawia nam autor syna, który po powrocie z wojny patrzy na swoje otoczenie zupełnie inaczej niż dawniej; „La Chapelle ardente“ świadczy o egoizmie matki, poświęcającej żyjących dla pamięci zmarłego dziecka.

Emile Mazaud jest autorem dwu komedii, zapisanych w repertuarze „Vieux Colombier“: „La Folle Journée“, male arcydzieło humoru, i „Dardamelle“, farsa o mezu ro-gaczu, żywa i przypominająca najlepsze tradycje osiemnastowieczne.

Paru jeszcze innych powieściopisarzy tworzyło dla sceny: Drieu la Rochelle, Luc Durtain, autor „Le Donneur de Sang“ i „Le Mari singulier“, sztuki oparte na noweli Cervantesa; René Laporte, autor „Frederiga“, osnuto na noweli Merimée'ego (którego znowu zacierpnął ją z legend włoskich) a wystawianego z przepychem przez Marcela Herrant w Théâtre des Mathurins; François Mauriac, któremu się szczęśliwie udało przenieść na scenę przytłaczającą atmosferę jego powieści; wreszcie Martin du Gard z „La Gonfle“ i „Le Testament du Père Leleu“, farsami z życia wieśniaków, które mają tyle „smaczku“, i „Un Taciturne“, wspaniałą sztuką, zarówno jeśli idzie o konstrukcję jak i bezlitosną analizę postaci.

Onówione sztuki stanowią jeden z charakterystycznych aspektów teatru lat ostatnich. Powieściopisarze tworzyli zawsze dla sceny, ale zdaje się dopiero powodzenie Giraudou zachęciło wielu z nich do pracy nad dramatem. Ci którzy teatrowi świeżo przybyli, aktorzy odkryli wojna: Jean-Paul Sartre, Albert Camus, Simone de Beauvoir („Bouches inutiles“), Fabien Régnier („A l'Approche d'un soir du monde“), Marc Bernard („Les Voix“) wnieśli nową treść i teatr literacki mocniej związał ze współczesnymi zagadnieniami społecznymi, politycznymi i filozoficznymi.

Przedwcześnie byłoby dziś przesądzać znaczenie tego wkładu czy wskazywać drogi, którymi pójdzie teatr współczesny. Niemniej sądząc, że w chwili obecnej powstaje epoka nowa, a ta, która omawiamy, już się zamknęła. Podział, jaki przyjęliśmy dla teatru, rozróżniając teatr bulwarowy, awangardowy i literacki, również zatracił swój sens. W przyszłości te trzy rodzaje, przenikając się wzajemnie, stworzą teatr wszechstronny, przystępny dla wszystkich — teatr dla ludu, o jakim marzył Romain Rolland, a jaki polaczy wszystkie rodzaje teatru i publiczności.

Jerzy Pillement

przetłóżyła Maria Stulgińska

HENRYK MARKIEWICZ

Mazanowski redivivus

„Z podręcznikami historii literatury dla liceum jest tragedia“ — pisała niedawno „Książka“ (nr 28). Dobiega już czterdzięście lat od ukazania się książki Chrzanowskiego, a jest ona wciąż najbardziej w szkole rozpowszechnionym źródłem tekstów i wyznacznikiem sądów o dawnej literaturze. W antykwarach podręczniki Kridla, „pięciu autorów“, Konrada Górskiego — nadal są poszukiwanym i przepłacanym towarem. Nie wydaje się ich ponownie, bo nie odpowiadają ani poznawczym, ani wychowawczym celom, jakie nauczaniu literatury stawia dzisiejsza szkoła. Ale młodszy korzysta z nich tak czy tak; płaci tylko horrendalne ceny...

Ukazanie się dwutomowej pracy Teofila Wojeńskiego*) nie poprawia tej fatalnej sytuacji. Wojeński poszedł utartym szlakiem swych poprzedników; nie darmo w tomie pierwszym wciąż cytuje Chrzanowskiego, w tomie drugim — Brücknera (nawet po to, by stwierdzić, że „Chimera“ była „najwytworniejszym pismem, jakieśm kiedykolwiek mieli“ — II, 184). Wbrew oczekiwaniom, wbrew zapowiedzi wstępu do gospodarstwa, społeczne w słabym tylko stopniu zostało uwzględnione w książce, niekiedy (romantyzm) prawie zanika. Nawet we wstępnych charakterystykach poszczególnych okresów ustępuje ono na plan dalszy, staje się momentem wtórnym w stosunku do ich „podstaw filozoficznych“. I nie dziwnego, skoro głównym przewodnikiem Wojeńskiego w tych sprawach jest znana rozprawa Zygmunta Łempickiego: powołuje się na nią nawet wtedy, gdy podkreśla rolę czynnika ekonomicznego we włoskim odrodzeniu. Łempicki jako advocatus diaboli — materializmu historycznego — to rzeczywiście dość zabawne.

Powiązanie dziejów literatury polskiej z europejskim tłem kulturalnym jest rzeczą słuszną, w podręcznikach tego typu zresztą nie nową. W stosunku do swych poprzedników Wojeński mniej dba o syntetyczne ujęcie prądów filozoficznych, szczegółowej przedstawia poglądy oddzielnych myślicieli. Ale takie charakterystyki, z konieczności zwięzłe i schematyczne, byłyby może pożyteczne w jakimś repertorium historii filozofii; dla

*) Teofil Wojeński. Historia literatury polskiej. Warszawa, „Wiedza“, 1946; str. 167 i 1 nl. (I) 252 i 2 nl. (II)

właściwych odbiorców książki Wojeńskiego są stanowczo za trudne.

W przedstawieniu europejskiego tła historyczno-literackiego idzie Wojeński śladami Kridla, ale ograniczony znacznie szczuplejszymi rozmiarami swej pracy — zestawia (zwłaszcza w tomie drugim) tylko katalog nazwisk, tytułów i dat. Wybór ich jest częstokroć nie dość przemysłany: w rozdziale o romantyzmie pominięto np. Byrona i Heinego!

Historia literatury w ujęciu Wojeńskiego to przede wszystkim rejestr pisarzy. Przywraca on pomiarjary od dawna i aterial biograficzny i przeładowuje podręcznik wycienieniami bibliograficznymi (np. dwadzieścia jeden tytułów Perzyskiego!) W wielu wypadkach dane życiorysowe i długi spis tytułów, spięte jakąś jednozdanową „syntetyczną“ charakterystyką — oto schemat opracowania. Tak potraktował Wojeński np. Świętochowskiego, Sewera, Bliżńskiego, Boya-Zelenkiego... Nazwałem w tytule pracę Wojeńskiego „Mazanowski redivivus“, ale to jest nawrotem chyba do — A. Kulickowskiego. Dodać należy, że w „ilości miejsca“ poświęconego poszczególnym pisarzom brak jakiegokolwiek proporcji. Dlaczego np. Bałucki potraktowany jest szczegółowiej niż Bliżński, Daniłowski — niż Orkan, dlaczego Ign. Matuszewskiemu poświęcono całą stronę, a Chmielowski kontentować się musi jednowierszową wzmianką — trudno zrozumieć.

Zgodnie z założeniami podręcznikowymi Iwja część pracy zajmują „wielcy pisarze“ i ich utwory przeznaczone na lekturę szkolną. Problematyka genetyczna ujęta jest na płaszczyźnie biograficzno-psychologicznej. Jak dawniej Mickiewicz napisał „Dziady“, bo zakończył się nieszczęśliwie w Maryli, Wyspiański „Warezawiankę“, bo zastał nowiło go, jak Francuzi obchodzą 14 lipca, o rozwoju ideologii Krasńskiego zdecydował przede wszystkim wpływ ojca. Poza tym analiza wybitniejszych utworów rozpada się na dwie części: „rozbiór treści ideowej“ czy „myśli przewodniej“, i „formy“. Formę traktuje Wojeński wyraźnie po macoszemu: załatwia się z nią w paru ogólnikowych, nie zawsze trafnych zdaniach. Oto parę przykładów: „Z twórczości Asnyka wartość istotną mają poezje odnaczaające się piękną formą, muzykalnością wiersza i bogactwem subtelnych odcienn“ (II, 130). O „Księdze ubogich“, „Myśliciel i artysta wypowiada się w tych liry-

kach w sposób przedziwnie łączący głębię myśli i uczucia z prostotą, szczerością i bezpośredniością wypowiedzi artystycznej o niezwykle wysokim poziomie estetycznym“ (II, 196). I jeszcze: „bogata, wszechstronnie opanowana forma, indywidualny charakter wyrazu artystycznego zjednały pociąg Staffa niezwykłą u nas poczynność i wpływ“ (II, 198). Jakże to pouczające, jak rozwija samodzielność i kulturę czytelnika ucznia!

Główny nacisk położył autor na „rozbiór treści ideowej“.

Nowa ocena ideowego spadku naszej literatury, przekształcenie społecznych wyobrażeń o nim — jest niewątpliwie jednym z najdonioślejszych i najbardziej pilnych zadań polonistyki. Oczywiście przerasta ono możliwości i siły jednego badacza. Ale u Wojeńskiego, poza konsekwentnym podkreśleniem dodatniej roli historyczno-kulturalnej oświecenia i pozytywizmu — nie widać tendencji w tym kierunku. Filozoficzna spekulacja Krasńskiego, posiadająca zdeternimowaną treść społeczną, nie tylko nadal zajmuje poczesne miejsce w historii literatury, ale podana jest niemal bez krytycznego komentarza. Pod wstępną charakterystyką wieszczą — „twórczość jego odznacza się najgłębszą treścią myślową, głębokim ujmowaniem istotnych problemów, daleko wybiegających w przyszłość“ (II, 61) — podpisały się sam Stanisław hr. Tarnowski. Na dawnych piedestałach wielkości ideologicznej (i dodajmy: artystycznej) pozostał Kasprowicz, Wyspiański, Brzozowski. Natomiast nie pokusił się Wojeński, by w historii literatury właściwą rangę nadać pisarzom i utworom reprezentującym ideologię postepową, demokratyczną, rewolucyjną. Na próżno byśmy tu szukali informacji o Kuźnicy kołtąłowski, czy radykalnej publicystyce emigracyjnej. Wincenty Pol wciąż zajmuje dwie strony, ale Berwińskiemu poświęcono jedno zdanie. O „Księgach pielgrzymstwa“ znajdujemy cztery strony, o „Trybunie Ludów“ — dziesięć wierszy petitem... Nie zrównoważy tego wprowadzenie do historii literatury autora „Czerwonego sztan-daru“.

„Rozbiór treści ideowej“ przeprowadzony jest w sposób mocą skutecznie obrydzić i zdyskredytować literaturę. Jest to po prostu wydłużanie z tekstu tego, co chciał powiedzieć, albo co wyraził wierszem „głos“ poeta. Wygląda to np. tak: „Daremnne żale“, wyrażające głębokie przekonanie, że

romantyzm jest już „przeżytym kształtem“, którego „żaden cud nie wróci do istnienia“, że zamiast tracić czas na „daremnne żale“ za minioną przeszłością, na „próżny trud“, by powstrzymać bieg wypadków, na „bezsilne złorzeczenia“ przeciw tym, którzy idą z postępem, samym „trzeba z żywymi iść, po życie sięgać nowe“ itd (II, 130). Oszczędzam czytelnikom w ten sam sposób (którego dydaktycznej wartości nie podejmuję się ocenić) dokonanej analizy innych utworów Asnyka, przede wszystkim jego sonetów filozoficznych. Te tracą na tym niewiele, bo niewiele mają do stracenia, ale łatwo sobie wyobrazić, jakie wyniki daje taka metoda w zastosowaniu do Staffa. Może świadom tych niebezpieczeństw ograniczył autor informacje o Lesmianie do dwóch zdań: że wywarł wpływ na młode pokolenie liryków i że był członkiem Akademii Literatury.

Swoiste curiosum, nawet na tle takiej całości, stanowi rozdział o Norwidzie, charakterystyczny dla wyobrażeń o twórczości tego poety, wciąż żywotnych w praktyce szkolnej. Norwid pokazany tu jest oczywiście jako epigon romantyzmu (bardzo wspominając Mieczysława Jastrunowi...). Wojeński daje jego biografii, omawia w wiadomy już sposób „Promethidion“, streszcza parę najbardziej znanych wierszy i „Fortepian Szopena“ (przy tej okazji jedyny bodaj sąd o wartości literackiej jego utworów — „odkrywcze“ zdanie Z. Falkowskiego: „Rytmyka, obrazowość, symbolizm, wszystko piękno“ — II, 82), wymienia inne tytuły, wspomina o dziejach późniejszych i twórczości plastycznej Norwida. To wszystko.

Styl tej „Historii literatury“ pisananej przez wytrawnego pedagoga dla użytku szkolnego najlepiej scharakteryzuje parę poniższych zdań: „Bogata treść ideowa w „Nad Niemnem“ występuje na równie bogatym tle opisowym. Składa się na nie opis życia dwu warstw społecznych: ich życia duchowego i materialnego bytu z uwzględnieniem zwłaszcza sfery życia obyczajowego. Na treść opisową składa się również opis przyrody, z którą żył obopisywanych warstw jest tak blisko związane. Ta bogata treść opisowa“ itd (II, 137. — podkreślenia moje H. M.).

„Znaczenie jest znaczenie i znaczenie znaczy“ — jak powiada pan Geldhab.

Henryk Markiewicz

PAWEŁ HERTZ

PORWANIE EUROPEY

„La meilleure raison... pour prouver que l'homme ne doit pas changer, c'est qu'il ne peut pas changer. Car dès que l'on entrevoit la possibilité d'un progrès, comment ne point souhaiter l'obtenir? C'est cette entrevue d'un progrès possible qui a si profondément labouré mes pensées, et modifié mon allure“.

André Gide, *Journal*, 1931.

Czas nie zawsze nam sprzyja. Ale dowiadujemy się o tym dopiero wtedy, gdy rzekomo naturalny porządek świata zostaje naruszony, a nowe myśli, które dotąd zdawały się burzyć jednolitość naszego czasu, zaczynają się przyoblekać w żywe kształty. Wtedy czas, taki, jakim znaliśmy go dotąd ze wszystkich jego urokami i wadami, które głęboko weszły nam w krew, poczyna nam ciążyć. Staramy się odepchnąć wówczas jednocześnie jego uroki i wady, pochopnie, lekkomyślnie, jak dzieci. Oparzyliśmy się chłodem, dmuchamy więc teraz i na zimne i na gorące. Z tej czynności pragniemy przede wszystkim usprawiedliwić się sami przed sobą — czujemy bowiem całą nieszczerłość naszej niewygodnej sytuacji, w której staramy się robić dobrą minę do złej gry. Zaczynamy obrachunki ze sobą i ze światem. Oto kazano nam — mówimy — przeżyć tyle to i tyle lat w takich to i takich warunkach. Żyliśmy w niezbitęj pewności, że świat, który nas otacza, nie zasługuje na większą uwagę niż ta, jaką mu okazujemy samym faktem naszego krótkiego i przelotnego pobytu wśród jego zjawisk. Nie pragnęliśmy nigdy kierować tymi zjawiskami, sądząc, że na nie się nie przyszy. Ten milczący rozbrat z naturą wzięliśmy w spadku po pokoleniach, które z nią walczyły. Nie był to pokój i nie była wojna. Zawieszono broni na warunkach rzekomo tylko dla nas korzystnych. Milczeliśmy. Milczeliśmy wytworale i długo, przypatrując się uważnie gmatwającemu się z każdym rokiem dziejom. Wokół nas zakieślił magiczne koło samowolności. Ale tylko my wierzyliśmy w tę magię i zaklęcie nie obowiązywało n'k go prócz nas samych. Gdy dźwięk zagmatwały się ostatecznie, gdy napór świata okazał się tak wielki, że nie sposób już było utrzymać pustych i białych miejsc na mapie naszego czasu, wówczas wybiegliśmy spoza zakreślonego przez nas koła, aby przyłączyć się do jednej z dwu nacierających na siebie armii. Był to bowiem czas wojny. Trwała ona z pewnością dłużej, niż to odnotuje chronologia. Dzieje tej wojny należy czytać z kursów giedych wielkich stolic, ze wzrostu i upadku krzywej produkcji węgla i stali, ze statystyk bezrobocia i cenników wielkich restauracji, z rozluźnionych zdań poematów i rozbitych na geometryczne figury twarzy ludzkich na portretach malarzy tego czasu. Kocham ten czas, który przeminał i wcale się tego nie wstydzę. Kocham własne złudzenie bezpieczeństwa w zakreślonym przez siebie kręgu. Kocham wreszcie naszą beładną ucieczkę w stronę dwu nacierających na siebie armii. Kocham decyzję własną i optakuję postanowienia przyjaciół, którzy zbłądzili.

Nasze pokolenie miało wyznaczone wejście na scenę świata w chwili nie najszcześliwiej wybranej. To też niejeden z nas uciekał z tej sceny w przeszłość albo w przyszłość. Ostre światła reflektorów, którymi oznajmiono chwilę naszego wejścia, pozwoliły dojrzeć każde. mu nasze wątpliwe zalety i nawastrwione od wieków wady.

Bywały kobiety, które przejdą na bal późno, wówczas, gdy wszyscy się już zebrał. Przybywały rozmyślnie z takim opóźnieniem, by ich samotnie i nieoczekiwane wejście zmroziło tym większą uwagę. Nieostrożne, prezentując zebrałym wspaniałość swojego stroju, nie pamiętając, że gdy wchodzi od dzielnie i samotnie, wówczas widzowie mają sposobność nie tylko podziwiać łabędzią kadencję jedwabnego trenu, który wlecie się po chłodnej posadzce, lecz mogą również przyjrzeć się dokładniej niż kiedykolwiek rysom tak dumnie wchodzącej. Egzamin, jakiemu zostaje poddana samotnica, lekceważąca sobie przepisy przybywania o ustalonym dla wszystkich czasie, tym bardziej bywa surowy, im bardziej wspaniale są pozory, którymi okryta jest jej postać. Czy zgromadzonych tylko przez chwilę zatrzymują się na blizszą materię, na kwiatach, którymi ozdobiła swój stan, na sztucznie upiętych włosach, na różu, który pokrywa jej wargi. Wzrok ich tym bardziej będzie przenikliwy i bezlitosny, im później zjawi się samotnica. Ale po chwili odrą ją z sukien, zetrą z jej warg różową farbę, zburzą wysoką budowlę włosów i nie przetrwa swojej niszczycielskiej pracy, dopóki zza płaszcza pozorów nie ukaże się prawdziwy kształt ludzki.

Świat bowiem nie lubi być oszukiwany. Im bardziej bywa rozczarowany, tym większą pała nienawiścią do przedmiotu, który go czarował, i tym bardziej jest wdziczny tym, którzy spod fałszywych wdzików wydobyli kształt prawdziwy, bez względu na to, czy widok taki jest straszny czy piękny.

Ta okrutna zabawa odzierała piękności z jej fałszywych uroków nie trwa długo, czas bowiem nie lubi zbyt długo zatrzymywać się nad swoją ofiarą. Dzieje toczą się poza naszym osobistym życzeniem, nie zwracając uwagi na to, czyśmy już dostatecznie dojrzeli, by zrozumieć ich treść i przewidzieć ich kierunek. Naszą jest rzeczą do trzymać kroku dziejom, podobnie jak do nas należy obowiązek dostrzegania różnicy pomiędzy naszym życzeniem i celowością jego realizacji. Zanim zaczniemy wymagać, by świat obrał kierunek inny niż ten, w jakim go toczą siły wszystkich ludzkich poczynań — dobrych i złych — zbadajmy nasze własne poczynania i posegregujmy je uważnie według ich wagi i znaczenia. Wówczas okaże się, że niektóre z nich pomagają światu, by toczył się naprzód, w zgodzie z ludzką myślą i ludzkim przeznaczeniem, inne zaś spychają naszą niewielką planetę z jej pięknie wytyczonej orbity, wtrącając ją w wojny, głody i nędzę, w których ginie nasza własna godność. Należy strzec się tej wielkiej lekkomyślności, z jaką niektórzy, przykładając palec do złych poczynań, usiłują powstrzymać bieg dziejów. Jeśli im będzie bardzo na tym zależało, na pewno zdołają to uczynić. Ale czy na długo? Nie jestem naturalistą, mimo to wiem, że najpierw kiełkuje z czarnej ziemi zielony pęd, potem wyrasta krzak, potem drzewo. Drzewo kwitnie, owocuje i umiera, rozsypując przed śmiercią swoje nasiona. Nie widziałem nigdy, by dzieje tego procesu toczyły się w porządku odwrotnym.

Nic tak nie sprzyja wiedzy o świecie jak doświadczenie. Toteż myślę, że demonstrowanie doświadczeń należy do obowiązków pisarza. Dlatego tylko poruczę, choć niechętnie, te ogólnikowe zdania i postaram się przedstawić rzeczywistość. Będzie to rzeczywistość skonstruowana przeze mnie samego dla celów dydaktycznych; ale wszystkie jej elementy są prawdziwe. Być może, że los już je kiedyś złożył, podobnie jak dziecko, gdy układa domek z klocków. Jednak w mojej pamięci wszystkie elementy tej rzeczywistości, jaką pragnę zademonstrować, były dotąd rozpięte i oddzielne. Czyli więc podobnie jak nauczyciel chemii, który przed lekcją przygotowuje retorty i odczynniki, aby przeprowadzić z góry obmyślony eksperyment. Byłbym nieuczciwy, gdybym usiłował dać do zrozumienia, że to, co opiszę, zdarzyło się komuś naprawdę. Powiem jednak prawdę, gdy zaręczę, że wszystko to, co piszę, mogło zdarzyć się każdemu z nas. Sądząc więc, że nie mam potrzeby piętrzenia przed sobą i przed czytelnikiem wielkich niespodzianek. Mogłbym je obmyślić i kunstownie snuć na kartach mojej książki; uczyniłbym to niewątpliwie, gdyby nie podejrzenie, że najsprytniej wymyślone niespodzianki okazywały się niczym wobec komplikacji ludzkiego losu. Natura, pozwalając rozwijać nam nasze umiejętności albo też opierając się gwałtownie naszej powoli, lecz nieustannie zdobywanej wiedzy, bywa zwykle bardziej od nas pomyślowa. Wolę więc powściągnąć moją wyobraźnię, ograniczając się do cierpliwiej selekcji istniejących form, do troskliwej hodowli gatunków, których zalety i wady są nam już znane, dzięki czemu, połączając pierwsze i usuwając drugie, uda się nam w końcu, jak cierpliwemu ogrodnikowi, uzyskać egzemplarz doskonały.

Do niedawna jeszcze przywykłem rozpoznawać upływ czasu według zmian, jakie dawały się zauważyć w mojej własnej twarzy. Była to jeszcze owa błogosławiona epoka, kiedy mimo już popełnianych niesprawiedliwości i gwałtów miasa nasze stały nieruchomo na swoich odwiecznych miejscach, tam gdzieś my je zbudowali, mądrze i uważnie wybierając płaskie brzegi rzek lub doliny osłonięte od wiatru. Rzeki, ujęte z czasem w kamienne oprawy, toczyły swoje wody — żółte, szare, niebieskie: barwa była zależna od koloru nieba, pod którym płynęły. Przez wiele lat patrzyłem na te pejzaże z wysokości mojej niewiedzy, podobnie jak ptak, który spod obłoku różniła tylko pustkowia i miejsca zabudowane, ale nie wie o tym, że pustkowia staną się kiedyś uprawne, zaś miejsca zabudowane można z łatwością zamienić w rumowiska. Ptak bowiem nie wie nie o sile ludzkiej dłoni, która kierowana szaleństwem albo rozumem stawia miasta lub je burzy.

Ta myśl, niedostępna dla ptaka, utkwiała we mnie na rok zaledwie, nim opuściłem moje rodzinne miasto nad Wisłą, Tybrem, Dunajem czy Sekwaną, spłoszony wznagającym się nieładem i pierwszymi odgłosami burzy. Niewątpliwie, gdybym zechciał uważnie słuchać tych, którzy usiłowali mi wyjaśnić przyczyny owego nieładu wcześniej, nim wstąpił on w swoje gwałtowne stadium, gdybym nie machał ręką i nie prosił, by mnie pozostawiono w spokoju, wówczas na pewno nie musiałbym sobie zadać tyle trudu, aby zrozumieć, dlaczego niejeden z moich rodzinnych miast znikło z powierzchni ziemi,

grzebiąc w ruinach ludzi i rzeczy, które kochałem.

Ci, którzy są nieobecni, nie mają nigdy racji. Tym razem nie tylko okazało się, że nie mają racji, ale muszą zostać ukarani. Wymierzono im karę najsurowszą ze znanych mi kar. Nie tylko, że nie mogą, ale nawet nie chcą powrócić do dawnego życia i do dawnych myśli o świecie. Wyobraźcie sobie Tantala, jeszcze bardziej głodnego niż Tantal z mitologii; Tantala, który wie na pewno, że nie uda mu się już zerwać pięknych owoców.

Dla mojego przyjaciela, Adama Lamberta, podobnie jak i dla mnie, dawne nasze życie i dawne nasze myśli o świecie wydają się dziś w obliczu startych z powierzchni ziemi miast i piętrzących się stosów spopielenych kości czymś tak blahym i śmiesznym, że trudno nam zachować gorycz tego odkrycia w głębi naszych serc. Usuwamy więc — niech mówi teraz mój bohater. Jeśli mu nie uwiierza dawny sprzymierzeńczy, jeśli nie zaufa nowi sojusznicy, wówczas jego sytuacja w świecie nie będzie łatwa. Ale niechże się dzieli z nimi swoją gorzką wiedzą, nie innego bowiem uczynić jeszcze nie potrafi.

Oglądane z lewego brzegu, gdzie spustoszenia nie były tak wielkie, moje miasto rodzinne wyglądało jak biblijna Sodom, na którą przez wiele dni padał ognisty deszcz, wypalając grzech i zbrodnie.

Dawna hierarchia budynków została zniwelowana — nie było wysokich wież ani domów wywyższających się nad inne. Jednakowoż, na pierwszy rzut oka, los spotkał kościoły i czynszowe domy, dzielnie biedne i dzielnie bogate. Ruiny, które dotychczas były jedynie świadectwem starożytności, stały się teraz symbolem czasów najbardziej nam bliskich. Patrząc na nie, wydawałem się sam sobie Rzymianinem, przywołanym zła świata na ruiny Kapitolu, aby tam mógł medytować nad błędami swojego pokolenia.

Przeglądając się uważniej dostrzegłem, że w istocie pomiędzy ruinami starożytności i szczątkami mojego rodzinnego miasta była różnica zbyt wielka, bym mógł się przejąć rolą Rzymianina. Tamte były uporządkowane, przystępne dla turysty i wydobyte spod grubej warstwy lawy, która je chroniła przez wiele setek lat. Te nie pogrzebane, leżały pod otwartym niebem jak żołnierze, których nie uniesiono z pola bitwy.

Oto widziałem przed sobą pierwszy kompleks ruin nie poddanych dobrodziejstwu konserwacji. Jeśli czego to pilnowano, to nielicznych enklaw celowości i ładu. Były to ułamki domów nadających się do zamieszkania, niedawno ustawione drewniane baraki nad brzegiem rzeki i szeroki, drewniany most, odcinający się żółtą barwą nieheblowanych belek od szarej powierzchni rzeki, nad którą go przerzucono. Tych nielicznych wyseppek ładu i konstrukcji wśród morza zwałisk i zdeformowanych kształtów chroniły straż — żołnierze dwóch armii.

Lorneta, dzięki której udało mi się zbliżyć ku sobie zwałone na przeciwnym brzegu moje miasto rodzinne, miała również dar oddalania oglądanych widoków. Z tego daru korzystałem nieraz, pragnąc nadać jakiejś zbiorowej scenie w teatrze lub rozległemu krajobrazowi nieco więcej patosu, niż w nich rzeczywiście tkwiło. Odwracałem wówczas lornetkę i przyglądałem się rzeczom przez szkła zmniejszające. Uzyskiwałem w ten sposób perspektywę tak wielką, że czułem się jak ptak, spoglądający na ziemię spod wysokiego obłoku. Przypnąłem, że stojąc teraz naprzeciw ruin mojego rodzinnego miasta, miałem przez chwilę wielką ochotę uczynić to samo, co czyniłem niegdyś, i spojrzeć na nie przez pomniejszające szkła. Nie uczyniłem tego jednak, tym bardziej, że sygnał samochodowej trąbki kazał mi odwracać lornetę od oczu i spojrzeć w stronę szosy.

Stał tam niewielki zielony Willa, a w nim, prócz szofera, siedział oficer w skórzanej kurtce, z rewolwerem u pasa, z przewieszonym przez ramię otwartym futerałem, gdzie zazwyczaj spoczywała lorneta polowa, którą posługiwałem się teraz w moich oglądach.

Przyjechaliśmy tu, na lewy brzeg rzeki, prosto z B., gdzie spotkał się przypadek. Wracaliśmy właśnie do kraju ze Wschodu — po długiej emigracji, i choć dzielił mnie z Zygmuntem nie tylko lata przerwy w naszej znajomości, ale i myśli, które do września kazały nam zupełnie inaczej komentować nasze czynności na ziemi, mimo to nieoczekiwane spotkanie sprawiło mi jednak przyjemność, tym bardziej, że poznaliśmy się od razu, co świadczyło o obustronnej wdzięcznej pamięci, w której zachowywaliśmy wzajemnie nasze twarze sprzed lat.

Dzieje naszej znajomości datowały się od czasów szkolnych i miały nawet w pewnym okresie tendencję do przekształcenia się w dzieje serdecznej przyjaźni, gdyby nie stanęły temu na przeszkodzie

w latach późniejszych niż dzieciństwo, lecz wcześniejszych niż młodość dojrzałość, różnice w poglądach na sprawy ludzkie — rzecz niezmiennie komplikująca wszelkie porozumienie.

Syn drobnego urzędnika kolejowego, Zygmunta dostał się do konserwatywnej i wzorowej szkoły — gdzie oddano mnie na zasadzie tradycji rodzinnej — wyłącznie dzięki zasługom swojego ojca, starego działacza socjalistycznego, który po rozbięciu partii stał się dość czynny w tzw. Frakcji Rewolucyjnej. Pomajowe rozczarowanie ojca, który nie zdołał się nigdy przedtem wysunąć wzorem niektórych swoich towarzyszy na jakieś wybitne stanowisko i pozostał nadal drobnym urzędnikiem, wreszcie brak osobistych wspomnień o socjalistycznej tradycji człowieka, który rządził w owe lata pomajowe w naszym kraju, sprawiły, że Zygmunta miał poglądy bardzo radykalne. Nie ukrywam, że od wczesnych doświadczeń lat był związany z nielegalną, międzyszkolną organizacją, która dziwnym zbiegiem okoliczności, a może logiką rzeczy, potrafiła uwić sobie gniazdo nawet w tej starej czcigodnej szkole, która złożyła hekatombę ze swoich wychowańców i we Lwowie w roku 1918, i nad Wisłą w roku 1920, jak o tym głosiła marmurowa tablica, wbudowana na półpietrze szerokich schodów. Położona pomiędzy pałacem baronów K. i eleganckim kościołem, szkoła ta wydawała się strzeżona przez najszlachetniejsze duchy umiarkowanej tendencji. Dopiero na kilka lat przed wojną, a na rok przed maturą, władze bezpieczeństwa stały się sceptyczne co do władzy tych dobrych duchów, poddały szkołę bacznej opiece i zapewne nie bez pomocy drobnej, niewinnej prowokacji uczeń Zygmunta M. został wydany do klasy siódmej i oddany pod dozór bardziej pewny.

Był to ostateczny powód zerwania naszej siedmioletniej znajomości, której niejedyn rok spędził w tej samej ławce. Gdy Zygmunta zniknął, zapomniałem bez trudu o nim i o niepokojących mnie rozmowach, jakie prowadziłem zwłaszcza w ostatnim roku wspólnego pobytu w szkole. Nie wstydziłem się tej obłoży: była jedną z form, krótkoterminowej co prawda, obrony mojej własnej sytuacji w świecie. Los bowiem, nie bez tego, by nie kierowały nim zapobiegliwie dłoń i umysł zainteresowanych, gotował mi w owe lata pozycję obiektywnie znacznie doskonalszą od pozycji Zygmunta M., syna drobnego urzędnika kolejowego.

Toteż wydawało mi się, że ja i mnie podobni jesteśmy sobą ziemi, że przez nas i dla nas pracuje precyzyjna maszyna świata. Gdyby mi ktoś wówczas powiedział, że rzeczy nie tak się mają, jak to sobie przedstawiałem, uznałbym go nie tylko za mojego osobistego nieprzyjaciela, ale również za wroga ładu, za burzyciela ustalonego i jedynego rozsądnego porządku, który gwarantując innym żywot skromny i pocziwy, był jednocześnie zdwigniętą sztuk, przemysłu i postępu ludzkiego. W zniknięciu Zygmunta z widowni mojego życia widziałem palec losu, wypychający buntownika z orbity, po której wolno mu było się poruszać. Nabrałem wówczas głębokie przekonania, że nie należy się buntować. Było to o tyle łatwiejsze, że smutna moja postać, obsypana hojnie niby z rogu obfitości darami losu, nie miała żadnego powodu, by schodzić z od dawna wyznaczonej drogi.

Niejeden być może oburzony moją szczerością powie, że w trzecim dziesiątku stulecia nikt nie miał już prawa w ten sposób rozumować i że tylko cynik może się dziś przyznawać do tak wielkiej i oczywiście winy. Ale powtarzam z uporem, że wcale się nie wstydzę moich dawnych myśli, gdyż byłbym pewien słuszności tej sprawy, która, jak mi się wydawało, zapewniała światu rozwój rozsądny, choć powolny. Jeśli cokolwiek mógłbym dziś żałować, to chyba tylko tego, iż przez długie lata wierzyłem światu w dogmat rozsądnego, choć powolnego rozwoju świata.

Usprawiedliwiałem tę wiarę doświadczeniem. Wieczorem patrzyłem na drzewo, na ledwie rozchylone pąki. Rano drzewo było pokryte liśćmi. Rozkwitło przez noc. W tym pięknym procesie nie było nic gwałtownego — próbowałem się podciągać na widok tak wielkiej zmiany. I ledwie ważyłem się myśleć, że w którejś godzinie nocy, gdy spałem oddzielony od świata ciężką, jedwabną storą, w jakiejś minucie tej godziny, w jakiejś sekundzie tej minuty nastąpił ów gwałtowny skok, ta przedziwna i niepokojąca zmiana. Myśl o tym, że przy wszelkich pozorach ładu, każda zmiana dokonuje się w sposób gwałtowny, dręczyła mnie od dzieciństwa. Lęk ustał dopiero wtedy, gdy rożek Amaltei zawieszony nad moją głową zamiast słodkich darów zaczął sypać gorzkim ziarnem wiedzy.

Pomyłki bywały dla niektórych ludzi rzeczą bardziej bolesną niż ich skutki. Kiedy przypatruję się dziś latom minionym, nie znajduję żadnego usprawiedliwienia dla po-

myłek, które popełniałem w nie-najgorszej wierze.

Mijały lata. Nie będę o nich wspominał, pamiętamy je wszyscy zbyt dobrze. Zanim zamknął się ten smutny okres w dziejach naszego świata, udało mi się nie bez wysiłku i nie bez utraty wiary w to, czego mnie dotąd uczono, i w to, co zdążyłem sam przemyśleć, spojrzeć na siebie i na świat przez pomniejszające szkła lornety. Ale było już za późno. Ten optyczny przyrząd przesłał w pewnej chwili służbę dla bezinteresownych obserwacji i wraz z całą produkcją ludzkich rąk i umysłów został włączony we wrześniu 1939 roku do inwentarza wojny.

Zygmunta M. spotkałem po latach szkolnych dopiero w listopadzie tego właśnie roku, który oddał w historię będzie dzielił dwie epoki. Spotkanie nastąpiło w B., gdzie znalazłem się przypadkowo, opuszczając majątek moich kuzynów. Ta jesień przyniosła obszarom położonym na wschód od B. wielkie zmiany. Nie tylko te, że moi kuzynowie utracili swój majątek, ale i takie, które wyraźnie określiły, kto po nich ten majątek odziedziczy. Oto byłem świadkiem gwałtownej zmiany, nagłego skoku i to, co przed kilku laty wydawało się Zygmuntem za ledwie drobnym pączkiem, rozkwitło nagle w ciągu nocy z 17 na 18 września 1939 roku. Powiedziałem, że przetrząsały mnie zawsze gwałtowne zmiany. I choć w ciągu ostatnich dwu przedwojennych lat zrozumiałem wreszcie, że takie zmiany są najzupełniej naturalne, to jednak muszę przyznać, iż te, które dokonały się w moich oczach, nieco mnie zmroziły. Zawsze gotowi jesteśmy uznać śmierć za rzecz najbardziej naturalną, ale tylko wtedy, gdy nam bezpośrednio nie grozi. To, co się stało na wschód od B., oznaczało śmierć dotychczasowego porządku, w jakim wzrosłem, i choć wiedziałem już, że ten porządek nie był najlepszy, przecież musiałem ciężko odczuć jego likwidację.

Nic więc dziwnego, że moje spotkanie z Zygmuntem, który sprawował w owym czasie jakąś poważną funkcję administracyjną w prowizorycznym rewolucyjnym zarządzie miasta, było raczej przykre dla nas obu. Mój dawny szkolny kolega urzędował w gmachu dawnego ratusza w saperkach i w spodniach z mundurowego sukna. Kiedy zdziwiony zapytałem go o pochodzenie tego stroju, odpowiedział mi, że w dzień po ucieczce władz więziennych wyostał się wraz z towarzyszami z W., gdzie odsiadywał swój kilkuletni wyrok i zdążył jeszcze wstąpić na ochotnika do jednego z oddziałów naszej rozbitej; zdaje się już wówczas armii, które, czy to wskutek braku łączności, czy też może z głębszych i bardziej godnych człowiek powodów walczyły, zapożnione, przeciwko Niemcom. Była to już właściwie partyzantka, cofająca się nieustannie w kierunku wschodnim. Zygmunta powiedział mi to wszystko tonem raczej niechętnym i widziałem, że irytuje go moje zdziwienie, z jakim przez cały czas spoglądałem na jego saperki i spodnie, w których urzędował w rewkomie miasta B.

Jeśli dobrze pamiętam, rozmawiałem z nim wtedy prawie wyłącznie o sprawach praktycznych, radziłem się, czy mam powrócić na teren okupacji, czy pozostać tu, w tym nowym, nieznanym i jak sądziłem, wrogiem mi świecie. Odpowiedział, pomijając tę ostatnią moją uwagę, że nie sądzi, bym nie mógł znaleźć tu sobie pracy, że wracać mi nie radzi, że wojna nie jest skończona i że cała sprawa rozwiąże się dopiero w wielkiej ostatecznej rozgrywce. Wtedy przypomniałem mu niedawno zawarty układ radziecko-niemiecki, spojrziałem przy tym na jego saperki, myśląc, że go to speszzy, że spojrzę chociaż na nie z zakłopotaniem. Wydawało mi się, że mam w tej całej sprawie lepszą sytuację moralną niż on i próbowałem mu to wytłumaczyć. Ale Zygmunta podszedł do wielkiej mapy naszego kraju i wskazując palcem obszary położone na wschód od B. zaczął mi spokojnie objaśniać sytuację polityczną i strategię przyszłej, nieuniknionej jego zdaniem wojny. Machnąłem ręką i na tym nasza rozmowa się urwała. Nie mieliśmy już sobie nic do powiedzenia, więc podaliśmy mu do podpisania przepustkę, którą mi wydano u wejścia do gmachu. Wrócił do biurka, spojrzął na zegarek i podpisał niewielki papier, odpowiadający godzinie mojego wyjścia. Wziąłem przepustkę: różnica między czasem mojego przybycia i czasem odejścia wynosiła dokładnie piętnaście minut. Chciałem dorzucić te piętnaście minut do tamtych siedmiu lat, ale czasu, podobnie jak nasze myśli, nie chciały się pojednać. Gdy zamykałem za sobą drzwi, zobaczyłem go jeszcze, jak stał zamysłony nad biurkiem.

Teraz, gdy czasy i myśli nasze, o czym tylko ja wiedziałem, wreszcie się pojednały, staliśmy na lewym brzegu szerokiej, rozlanej o przedwiośnie rzeki. Oddałem mu lornetę i zataczając ręką szerokie półkole, powiedziałem: — Opowiedz mi o tej bitwie. — Oh! To się nie da tak łatwo

opowiedzieć, jak ci się zdaje — roześmiał się smutnie. — Pamiętasz: u Cezara wszystko było łatwiejsze: „Palus erat non magna...” — popatrzył w stronę rzeki. — Tedy nie łatwo było przejść. Strategia skomplikowała się równoległe do polityki i to nie tylko od czasów Cezara, ale nawet od owych lat, gdy pomagałeś mi tłumaczyć jego tekst. — Spojrzał teraz na niedomknięty futerał, podniósł wieczko, troskliwie wsunął lornetę w wyszczeblane płuszem wnętrze i za trzasknął zameczek. Ruszyliśmy w stronę samochodu.

Dziwnym zbiegiem okoliczności spotkał się znowu tuż przed samym finałem wojny w tym samym B., gdzieśmy tak chłodno się żegnali przed sześcioma laty. Zygmunta nosił mundur polowy — tym razem kompletny — z oznakami kapitańskiej rangi, był dla mnie uprzejmy i serdeczny, jak gdyby pomiędzy nami nie leżało owe piętnaście minut, jak gdyby pamiętał tylko te siedem lat. Nasza pamięć posiadała dar przywoływania wspomnień, nawet tych, które zostały zepchnięte na samo jej dno. Toteż po tylu latach zapomnienia mogliśmy się przywitać, jak gdyby w naszej znajomości nie było przerwy ani w naszych wspomnieniach żadnej luki. Był to w każdym razie pierwszy człowiek z dawnych lat, którego spotkałem tuż nad granicą, u wrót kraju, u kresu mojej długiej wędrówki. Wiedziałem, że dzieli nas teraz mniej sprzeczności niż w owym dniu listopada. Długie lata doświadczenia i namysłu, ilustrowane przy tym obrazami wojny, którą uważałem za ów moment skoku, gwałtownie zmiany, tak bardzo niegdyś mnie przerażającej, a teraz rozciągniętej na całe sześć lat, bym miał czas się z nią oswoić, nauczyły mnie więcej, niż mógłbym się dowiedzieć ze studiów. Wypadło mi porzucić nawet myśl o możliwości powrotu do dawnych spraw, tak słabe i nędzne okazały się prawda, według których te sprawy układano. Odkrycie, to które zapewne nie mnie jednemu przypadało w udziale, przetrzało mnie tym bardziej, że byłem przygotowany na trudności, jakie mnie czekają. Pomógł zrozumieniem czegoś a umiejętnością zastosowania się do tego, co się już rozumiało, leży ogromna przepaść, wypełniona uroczymi obrazami przeszłości. Nawet, kiedy zdecydowaliśmy się na przekroczenie tej przepaści, nie potrafimy przekroczyć jej bez wahania. Zatrzymujemy się jeszcze na dawnym brzegu i chętnie spoglądamy ku uroczym obrazom.

Trudno mi tu malować portret liberała, wziętego nagle w dwa ognie przez historię, ściśniętego przez napierające dzieje, jak ów więzień inkwizycji zamknięty w celli, której ściany powoli lecz nieuchronnie zbliżają się ku sobie. Jedno jest tylko pewne: z gorzkich doświadczeń i długich namysłów, z trudnej sytuacji osobistej i z pobytu w kraju, który zaprzeczając wszystkim moim dotychczasowym pojęciom o świecie, pokazał mi inną, bardziej ludzką, choć mniej wyszukana stronę życia, wyniosłem więcej, niżbym mógł wynieść z tych samych lat spędzonych w londyńskim hotelu na lekturze „Timesów”. Przypadek pokierował jednak inaczej moim losem i przez siedem prawie lat byłem pozbawiony tej lektury.

Nigdy tak jak w owe lata, zwłaszcza pod tymi szerokościami geograficznymi, gdzie udało mi się przechować moje ciało, nie widać było wyraźnie, jak pękają szwy, którymi sami sobie pozyskiwaliśmy nasz przedwojenny spokój. Przy wszystkich trudach i kłękach, jakie poniosłem, ten widok opłacił się sowicie. Wystarczyło patrzeć uważnie i rozsądnie, aby ocenić błąd w naszym przedwojennym rachunku, jaki prowadziłyśmy ze światem. Konto win było bardzo obciążone. Nie chcę tu przytaczać rachunku, byłoby to zbyt gorzkie, a nie pragnę być bardziej okrutny wobec innych, niż byłem wobec samego siebie.

(Ciąg dalszy w najbliższym numerze).

W poprzednim 30 (139) numerze „Odrodzenia” z dnia 27 lipca 1947 r.: Jarosław Iwaszkiewicz otrzymał nagrodę „Odrodzenia” (przemówienia: Stanisława Pigonia, Wacława Kubackiego i Marii Dąbrowskiej). — Jan Kott: Matura. — Bolesław Dudziński: U źródeł pomysłu. — Artur Sandauer: O miłości bezosobowej. — Andrzej Kruczkowski: Cyfry z perspektywy Londynu. — G. B. S. — Andrzej Stawar: Pozytywizm, romantyzm, oświecenie. — Jan M. Nowak: Zycie w USA. — Marian Jachimowicz: Wyzbywając się. — Wacław Kubacki: List z Poznania. — Marian Brandys: List z Wybrzeża. — Jack Bocheński: Kronika warszawska. — U pisarzy radzieckich. — KJW: Szkoła krytyków: Recepta na pisarza katolickiego. — as: Jeszcze o papierze. — Tydzień bibliograficzny. — Krystyna Kuliczowska: Książki dla dzieci i młodzieży. — Stefan Papée: Wśród wydawnictw. — Jan Huszcza: „Takie były zabawy... w one lata...”. — Aron Firmas: Moja podróż po Czechach. — Jan Kott: Z dziennika. — Nagroda literacka Lublina. — Rubryka nr 47. — Przypomnienia. — Camera obscura. — 9 ilustracji 8 str.

DIDEROT

Zasady polityki władców^{*)}

Fragmenty

Król nie jest ani ojcem, ani synem, ani bratem, ani krewnym, ani mężem, ani przyjacielem. Kimże jest więc? Królem, nawet wówczas, gdy śpi.

Dworzanin przysięga tylko na króla i na jego wieczność.

Zołnierz jest naszym obrońcą podczas wojny, naszym wrogiem podczas pokoju; zawsze jest w obawie, może go tylko zmienić.

Biada temu, o kim będą mówić za wiele.

Biada temu, który się wyróżni w służbie.

Biada temu, kto zmusi mnie, abym zapomniał albo o obowiązkach majestatu albo o bezpieczeństwie.

Jeżeli zwyciężył, to dlatego, że posłałem im moich bogów i moje przeznaczenie.

Strach jest żołnierzem, który jednego dnia nie stawia się na posterunku.

Kaligula kazał strzec swojej osoby Batawom, a Antoniusz Germanom.

Kiedy książd sprzyja jakiejś nowości, jest ona zła; kiedy broni się przed nią, jest ona dobra; odwrotnie się do historii. Przeciwnie niż lud.

Nie ma końca wojnie pomiędzy ludem, który chce być wolny, a królem, który chce panować. Książd zależnie od własnej korzyści jest za królem przeciwko ludowi, lub za ludem przeciwko królowi. Jeżeli ogranicza się do wzywania bogów, widać, że go to niewiele obchodzi.

Kim jest król? Jeśli książd odważy się na odpowiedź, powie: Oto mój liktor.

Rozkaz władców, które wykonuje się nocą, świadczą o niesprawiedliwości lub lekce: to nieważne. Niechaj lud dowie się o rzeczy, kiedy się stała.

Nigdzie kobiety nie są tak poniżone jak w państwie, w którym władca może obok siebie posadzić na tronie kobietę, która mu się najbardziej podobą; tam są one tylko pięcią, która jest potrzebna.

Najgroźniejszym wrogiem panującego jest jego żona, jeśli umie zrobić cokolwiek poza rodzeniem dzieci.

W państwie jest tylko jedno schronienie dla złoczyńców: pałac Cezara.

Moralność i cnota potrzebne są tylko tym, którzy słuchają. Nieśwety! wiem, że nie mogą im uchybić bezkarnie; jest to smutny przywilej tych, którzy rozkazują.

Przemawiać do ludzi nie w imię rozumu, lecz w imieniu niebios; słuszniej! jeżeli są to dzieci lub dzieci.

Przekonać swych poddanych, że zło, jakie się im czyni, jest dla ich dobra.

Przekonać obywateli, że zło, jakie wyrządza się ich sąsiadom, jest dla ich dobra poddanych. Zawsze porywać Sabinki.

Jedyna pochwała godna, aby jej pożądał panujący, to strach sąsiadów.

Nigdy nie zaszkodzi każde niebezpieczeństwo unać za nagłą.

Cesarz kazał odciąć ręce tym, którzy przeciw niemu zbrojnie powstali, ale puścić ich żywych. Oni strach okazywali publicznie.

Jeżeli żaden z władców Europy nie odważy się zanurzyć rąk w krwi nieprzyjaciela podstępnie sprowadzonego na spotkanie lub uczyć, przykładałby w historii aż do nowych czasów, to dlatego, że zmieniły się obyczaje. Jesteśmy bez wadzenia mniej barbarzyńscy; czy jesteśmy mniej perfidni? O tym wątpię.

Dusić w uścisku; obrzydliwa perfidia.

Tworzyć winowajców, oto jedyna ucieczka okrutnych ministrów, aby zgubić ludzi zanych, którzy stają im na zawadzie. Stąd ważną jest rzeczą strzec się tego rodzaju niegodziwości.

*) Są to notatki Diderota pisane na marginesie roczników Tacyty. Nie były one przeznaczone do druku. Kursowały w odpisach, jak reszta większości utworów autora „Kubusia”. Pierwszy raz tego nowoczesnego „Księcia” Makławela ogłosił w r. 1776 Fr. Méta w swojej „Correspondence secrète, politique et littéraire”. We Francji „Zasady polityki władców” ukazywały się w druku dopiero w r. 1798, w pierwszym zbiorowym wydaniu pism Diderota. Jest to z całej twórczości Diderota najbardziej bezwzględny i gwałtowny, na przemian ironiczny, cyniczny i patetyczny atak na absolutyzm oświecony. To już niczym nie osłonięte wezwanie do walki ze znielawidzonym porządkiem społecznym: lud został przeciwstawiony monarsze.

J. K.

Powstawać na niewinnych, kiedy zajdzie potrzeba: każdy uczciwy człowiek zdradzi słysząc tę maksymę, której nie omieszkają nigdy zabarwiać interesem publicznym.

Kto piękną kartę w historii przekłada nad zdobycie prowincji, łatwo może nie mieć ani prowincji, ani pięknej karty.

Pozbawić łaski tych, którym trzeba płacić pensje, zawsze łatwo.

Zbrodnia obrazy majestatu jest najcięższym z wszystkich oskarżeń. Te słowa Tacyta malują i cesarza, i senat, i lud.

Wolność pisania i mówienia bezkarnie świadczy albo o ogromnej dobroci księcia albo o głębokim niewolnictwie ludu; pozwala się mówić tylko temu, który nic nie może.

Co jakiś czas przypominać wielkim o ich obowiązkach, nie, aby się poprawili, lecz aby wiedzieli, że mają pana. Może by się i poprawili, gdyby byli pewni, że zostaną ukarani za każdym razem, kiedy uchybią swoim obowiązkom.

Kto nie jest panem żołnierza, ten nie jest niczym panem.

Kto jest panem żołnierza, ten jest panem finansów.

Nie ma skutecznych skarg prócz tych, które się podaje na końcu bagnetu.

Zawsze należy szanować ustawę, która nas nie kępuje, a kępuje innych. Lepiej byłoby szanować wszystkie.

Panujący oskarża się tylko przed Bogiem, ponieważ tylko wobec niego może zgrzeszyć. To jasne.

Co czas pewien zaryzykuje, bardzo jest ważne; bez tego zabieg władcy byłby narażony często na obelżę powałać.

Zawierać przymierza po to, aby się nie nienawidzić.

Wzniecać i podsycać wojny pomiędzy sąsiadami.

Zawsze przyrzekać posiłki i nigdy ich nie wysyłać.

Korzystać z zamieszek dla przeprowadzenia swych zamysłów.

Oplacać nieprzyjaciela naszego sojusznika.

Zawsze należy żądać uznania, bez którego można się obejść. To bardzo pewny środek, aby ukryć przed ludem jego niewolę.

Władca słaby zamyśla, co władca silny wykonuje. Na przykład: Lud żyć musi, ale niech żyje w niedostatku i biedzie, im bardziej jest zajęty, tym rzadziej się buntuje, a tym jest bardziej zajęty, im z większym trudem zaspokaja potrzeby.

Aby lud utrzymać w ubóstwie, należy ustanowić urzędników, którzy go obdierają ze skóry, i ich ze skóry obdierać. Oto sposób zachowania honoru, pomszczenia ludu i dochodu z grabieży.

Należy pozwalać na satyrę i skargi, nienawiść tajna bardziej jest niebezpieczna od jawnej.

Winiem być chwalony, to bardzo łatwo. Ludzi piora przekupuje się tak małym kosztem: wiele łaskawości i pochlebstw, trochę pieniędzy.

Bogaczom nie należy pozwalać na podróże, a już pod żadnym pozorem cudzoziemcom, którzy się wzbogacili, na opuszczenie kraju, zanim się ich nie ograbi.

Poświęcać wszystko dla wojska, poddani muszą mieć chleb, ja muszę mieć pułki i pieniądze.

W państwie wszystkie stany sprowadzają się do dwóch: poddani i ich dostawcy.

Zawierać przymierza po to, aby się nie nienawidzić.

Wzniecać i podsycać wojny pomiędzy sąsiadami.

Zawsze przyrzekać posiłki i nigdy ich nie wysyłać.

Korzystać z zamieszek dla przeprowadzenia swych zamysłów.

Oplacać nieprzyjaciela naszego sojusznika.

Poświęcać wszystko dla wojska, poddani muszą mieć chleb, ja muszę mieć pułki i pieniądze.

W państwie wszystkie stany sprowadzają się do dwóch: poddani i ich dostawcy.

Zawierać przymierza po to, aby się nie nienawidzić.

Wzniecać i podsycać wojny pomiędzy sąsiadami.

Zawsze przyrzekać posiłki i nigdy ich nie wysyłać.

Korzystać z zamieszek dla przeprowadzenia swych zamysłów.

Oplacać nieprzyjaciela naszego sojusznika.

przełożył JAN KOTT

Po co ministrowie za granicę? Wystarczą szpiegzy.

Po co ministrowie u siebie? Wystarczą słudzy.

Jest tylko jedna osoba w państwie: to ja.

Obrócić w perzynę wszystko podczas wojny; wywieść, co można, zniszczyć wszystko, czego się nie da wywieźć.

Mało mnie obchodzi, że istnieją jacyś uczeni, poeci, mówcy, malarze, filozofowie; ja chcę mieć tylko dobrych generałów, tylko sztuk wojenną na coś się przyda.

Jeszcze mniej zależy mi na dobrych obyczajach, obchodzą mnie tylko dyscyplina wojskowa.

W starożytności tylko Lacedaemonczy mieli rząd dobry. W końcu podbiliby całą Grecję.

Moji poddani będą tylko helotami pod uczciwą nazwą.

Gdyby myśli moje przejęło pięciu lub sześciu następców, doprowadziłby niechybnie do światowej monarchii.

Widzieć wroga w każdym, kto nie jest naszym przyjacielem. Liczyć tylko na przyjaźń tych, którzy mają w tym własną korzyść.

Być neutralnym lub wykorzystywać cudze kłopoty dla przeprowadzenia własnych planów, to jedno.

Domagać się neutralności w sporach pomiędzy sobą a innymi, ale nie ścierpieć jej pomiędzy innymi a sobą.

Zenić żołnierzy, albo zająć ich w czasie pokoju płodzeniem nowych.

Niech płodzi żołnierzy każdy, kto ma na to ochotę.

Nie ma sprawiedliwości w sporach pomiędzy żołnierzem a jego dostarczycielem — ludem.

Nie ma dyscypliny wobec nieprzyjaciela: to łup.

Trzeci ogólnopolski salon plastyki

Tegoroczny, trzeci ogólnopolski salon malarstwa, rzeźby i grafiki został urządzony na okres czerwca i lipca w Poznaniu, w jednym z pawilonów wystawowych, w tak zwanym Pałacu Targowym.

Wybór miejsca i czasu tego salonu trudno uznać za udany. Czerwiec i lipiec to miesiące, które gwarantują powodzenie najrozmaitszych imprez, ale nie tego rodzaju co Salon. Poznań jest mimo wszystkich atrakcyj miastem prowincjonalnym i na okres kanikuły pustoszeje. Na domiar tego, „Pałac Targowy” posiada wewnątrz mało efektowne, przypominające fabryczne hale; ponieważ ma białe, jaskrawe ściany i bardzo nierówny światło, nie spełnia nawet części tych warunków, jakie zwykle się stawiać salom przeznaczonym na wystawy dzieł sztuki. Nic więc dziwnego, że wiele obrazów po prostu zgubilo się, zatracono. Wpłynęło na to również sposób ich rozmieszczenia, przy którym ich organizatorzy kierowali się raczej rozmiarem poszczególnych płócien niż ich charakterem, czy wymaganiami autorów.

Poza paru wyjątkami prace artystów, którzy mieli ich na wystawie więcej niż jedną czy dwie, zostały tak rozmieszczone, że zwiedzający musieli się zdobyć na wiele trudu i dobrej woli, by je wszystkie odnaleźć i ogarnąć wspólnym spojrzeniem.

Do męczącej właściwości Salonu należało przeplatanie obrazów jednego malarza obrazami innego. Tak np. postąpiono z płótnami Wolffa i Taranczewskiego. Obaj malarze należą do czołowej grupy współczesnych artystów polskich, ale ich bliskie sąsiedztwo nie wychodzi na dobre ani jednemu, ani drugiemu. Niewielkie rozmiarami oleje i tempery Jerzego Wolffa, wymagające specjalnej atmosfery i otoczenia, zostały niemal przytłoczone dużymi, o specyficznej kolorystyce i fakturze płótnami Taranczewskiego. Podobny eksperyment, który w efekcie dał inny rezultat, zastosowano wobec Krajewskiego i Teresy Tyszkiewicz. To, co zrobiono z grafiką, przechodzi wszelkie pojacie.

Do plusów wystawy nie można też zaliczyć katalogu. Niechlujstwo tego wydawnictwa jest zawstydzające. Pomijam zły papier, niewłaściwy wybór ilustracji i ich nieporadność techniczną. Przy obecnych trudnościach można te braki (choć nie wszystkie) w pewien sposób wytlumaczyć. Niczym jednak nie da się wytłumaczyć niedołężności redakcji. Wszyscy malarze, rzeźbiarze i graficy zostali wtłoczeni w szarą nieefektywną kolumnę druku. Poza imieniem i nazwiskiem wystawiającego, miejscem jego pobytu i nie zawsze właściwie określonym rodzajem dzieła, katalog nie zawiera innych informacji. A przecież Instytut Propagandy Sztuki pokazał piękny wzór wyczerpującego katalogu. Chodziłoby tylko o próbę naśladowania. O nic więcej.

Specjalnością katalogu są liczne, chwilałami zabawne błędy drukarskie: z Taranczewskiego zrobiono Taranczewski, z Cybisa — Cybja, z Wnukowej — Wunkowa, z Walentyny Symonowicz — Walentego Symonowicza.

Przechodząc do samej wystawy — należałoby rozpocząć od tych, którzy w wystawie nie biorą udziału, a przede wszystkim Eibischa, Kowarskiego, Rafałowskiego, Gepperta, Arcta, Gerzabka. Nieobecność tych malarzy pozbawiła Salon wyrazistości indywidualności, mimo to nie można się uskarżać na monotonię. Salon nie obfituje co prawda w rewelacje, pokazał jednak wiele płócien pierwszorzędnej wartości. Przeważa rodzaj kameralny. Kompozycje figuralne ustępują nadal pejzażom i martwym naturom. Problematyka dzisiejszego nie znajdują wciąż jeszcze odbicia w naszej plastyce.

Dwie centralne sale wystawy, a właściwie jedna z nich została przekształcona jakby w sanktuarium Salonu. Znalazły się tam płótna Cybisa, Hrynковского, Łakomskiego, Makarewicza, Marczyńskiego, Pronaszki, Radnickiego, Cybisowej, Rzepińskiego, Stulnickiego, Taranczewskiego, Wasilkowskiego, Wodyńskiego i Wolffa. Są to przeważnie malarze krakowscy, albo ci, co wyszli z Krakowa. Z prac tam zebranych można by łatwo skompletować reprezentatywną kolekcję współczesnego malarstwa polskiego.

Prym w tej sali dierży Zbigniew Pronaszko. Jego piękne „Studium portretowe” malowane z rozmachem i pasją tworząca — to jeszcze jedna praca z galerii jego portretów, które zapewne przejdą do historii malarstwa polskiego i europejskiego.

Pronaszko pokazał tym razem pięć prac.

Zalety sztuki tego artysty są szeroko znane. Jest to namiętny kolorysta, który umie swe namiętności powstrzymać w rytych formach. Jest to malarz, którego sztuka wyraża w sposób najlajdaczniejszy ducha naszej epoki, jej styl.

„Martwa natura z gitarą” mimo banalnej treści, popularnego rodzaju, małych wymiarów jest dziełem monumentalnym. Monumentalność tę osiąga Pronaszko bardzo prostymi środkami. Przez położenie obok siebie trzech płam. Ale w ten sposób położyć płamy na płótnie, jak to robi Pronaszko, mało kto w Polsce potrafi. Każda z tych płam żyje własnym życiem, a równocześnie wszystkie trzy tworzą doskonale zamkniętą całość.

W sali, w której znajdują się obrazy Pronaszki, nie ma rzeczy złych, a na szczególną uwagę zasługują obrazy nieomylnego w kolorze Jana Cybisa, komponującego swe płótna na wzór utworów muzycznych Wacława Taranczewskiego, subtelności, czującego kolor jak puls żywej krwi Jerzego Wolffa, zrównoważonej, pełnej umiaru Hanzy Rudzkiej-Cybisowej, Zygmunta Radnickiego, który obok trzech innych prac pokazał bardzo ładne „Niezapominajki”, oraz Jana Hrynковского i Czesława Rzepińskiego.

go. Jan Hrynkowski wyrzekł się dużych surowych, płasko leżących i monotonicznych płam i zdaje się dążyć do zróżnicowania koloru i formy. Tym przeobrażeniem towarzyszy duże poczucie świeżości i swobody, co sprawia, że sztuka Hrynковского jest jakby młodszą i impulsywniejszą. Rzepiński, którego bywały przedwojenne IPSy pamiętają przede wszystkim jako autora ślicznej, impresjonistycznej „Zuzanny i starców”, nie ma w sobie obecnie nic z ówczesnego, bardzo młodzieńczego, ale i uroczego pławienia się w kolorze. Obecny Rzepiński jest pełen powagi, pełen trosk o zachowanie konkretności bryły, którą nawet stara się uniezależnić od tła. Traktuje ją chwilami niemal po rzeźbiarsku. A i w sposobie formowania przez Rzepińskiego bryły jest niemal rodzinowa pasja budowania od wewnątrz ku powierzchni. Sześć wystawionych obrazów Rzepińskiego to portrety, akty i studia kobiece utrzymane w głębokim, złocistym, ciepłym kolorystyce. Niektóre z tych prac wydają się jakby fragmentami do większej kompozycji. Czyżby to miało być dowodem tęsknoty Rzepińskiego za dużymi płaszczyznami?

Wystawione obrazy malarzy warszawskiej znany prawie wszystkie z wiosennego Salonu Warszawskiego. Przeniesione jednak z pięknych sal Muzeum Narodowego do Pałacu Targowego i jakby złośliwie rozproszone po całej wystawie straciły wiele ze swego uroku i co smutniejsze — wyznajemy to ze szczególnym żalem — poza małymi wyjątkami nie wytrzymały ogólnej konkurencji.

Najciekawsze obrazy z grupy warszawskiej (prócz wymienionego już Wolffa i Cybisa) wystawili: Jan Bettey, Leokadia Bielska-Tworkowska, Edmund Burke, Władysław Gościński, Henryk Krych, Leon Michalski, Henryk Musiałowicz, Wanda i Aleksander Radziejewicz-Winnicy, Jadwiga Simon-Pietkiewiczowa. Na dzieła tych artystów zwróciła już uwagę krytyka w czasie trwania wiosennego Salonu Warszawskiego i uwag wypowiedzianych na ich temat nie będziemy już powtarzać.

Dość osobliwie (poza Henrykiem Starzewskim, który zajmuje w naszej „awangardzie” malarzkiej pozycję odrębną) wypadli na Salonie Poznańskim warszawscy formiści: Marek Włodarski, Helena i Juliusz Krajewscy, Maria Łunkiewicz, Kazimierz Nita, Anatol Wróblewski. Prace ich znalazły się w rędziu prac formistów krakowskich, poznańskich i łódzkich: Alfreda Lenicy, Jerzego Nowosielskiego, Jana Pisarka, Erny Rozenstein, Jerzego Skarżyńskiego, Mariana Szymańdy, Bogusława Szwacza, Teresy Tyszkiewicz, Stefana Wagnera, Zofii Wielowieyskiej-Ratkowskiej, Kazimierza Wojtowicza.

Założenia sztuki reprezentowanej w Poznaniu przez tych artystów nie są nam obce. Dąży ona do odnalezienia nowych sposobów wy-

obrażenia świata, odnalezienia nowych stosunków i proporcji zachodzących między przedmiotami i ideami — a tym samym odnalezienia nowych praw estetyki, nowego wyrazu artystycznego. Rezultatem tych poszukiwań są niekiedy olśniewające, czasem zabawne osiągnięcia, a niekiedy najoczywistsze błędy.

Jak już wspominałem, organizatorzy wystawy pomiędzy dwoma płótnami Krajewskiego „W kuchni” i „Dziewczynka” umieścili „Grajka” Teresy Tyszkiewicz. Przypadek ten odkrył istnienie wspólnej dla tych trzech płócien recepty.

To uleganie jednej i tej samej recepty, posłuszeństwo nie własnemu impulsowi twórczemu, ale idącemu z zewnątrz dyktandem jest nie tylko właściwością sztuki Tyszkiewiczowej i Krajewskiego, ale też innych artystów, a w sposób najwyraźniejszy objawiło się w płótnach formistów warszawskich. I dlatego to, co nas interesowało i pociągało w twórczości Krajewskich i Włodarskiego na Salonie Warszawskim — w Poznaniu wydaje się tylko wyuczone.

Z pozostałych malarzy-formistów z dużym umiarem i prostotą, bez silenia się na oryginalność rozwiązań swoją kompozycję „Sąd” Kazimiera Wojtowicza. Także Alfred Lenica — przez wyeliminowanie wszelkiej przypadkowości i utrzymanie równowagi poszczególnych form i płam zdołał osiągnąć całść o dużej sile wyrazu.

Interesując wypadła „Sprzedawczyni” E. Pisarka, a prawdziwą klasę malarską zademonstrował Marian Szymańda z Poznania. Jego trzy kompozycje: „Dziewczyna z gitarą”, „Akt przed lustrem”, „Martwa natura” należą do najlepszych prac Salonu. Mają szlachetne uproszczenia, wolne jednak od wszelkiej stylizacji czy bezdusznego schematyzmu. W obrazach tych — mimo ich naturalistycznej treści — przemawia czysta płama i czysta linia.

Z ogromnej cyfry ponad 260 wystawiających należałoby jeszcze wymienić:

malarzy: Stanisława Boczarowską, Helenę Bożyk-Papée, Annę Ciesierską-Piszorową, Sarę Glicksmannową, Jana Kalicińskiego, Henryka Karnieja, Józefa Krzyżewskiego, Jarosława Kirylenkę, Jerzego Krawczyka, Królikiewicza, Jerzego i Andrzeja Mierzejewskich, Romana Orszulskiego, Kazimierza Podadeckiego, Edmunda Szyfiera, Walentyna Symonowicz, Witolda Tomaszewskiego, Zygmunta Tomkiewicza, Stanisława Teisseyera, Danutę Tuszewską, Bronisławę Wilanowską, Konrada Winklera, Krystynę Wróblewską, Stanisława Zalewskiego, Jacka Żulawskiego;

z grafików: Stanisława Dawskiego, Jana Grzegorzewskiego, bardzo dobrą Marię Hiszpańską, Józefa Karoliewicza, rysunki Mieczysława Majewskiego, Konstantego Sopoćkę, Zofię Stankiewicz, Wacława Waśkowskiego, Ignacego Witza, Jana Wroneckiego.

Stanisław Ciechomski

Juliusz Żulawski

Włodysław Broniewski

Kazimierz Brandys

Paul Hertz

Stanisław Jerzy Lec

Stanisław Ciechomski

Juliusz Żulawski

Włodysław Broniewski

Kazimierz Brandys

Paul Hertz

Stanisław Jerzy Lec

Stanisław Ciechomski

Juliusz Żulawski

Włodysław Broniewski

Kazimierz Brandys

Paul Hertz

Stanisław Jerzy Lec

Stanisław Ciechomski

Juliusz Żulawski

Z T E K I KARYKATUR JERZEGO ZARUBY

Żołnierz niech pilnuje obywatela, aby nie wyemigrował. Obywatel niech pilnuje żołnierza, aby nie zdezerterował.

Karać za niepowodzenie w czasie wojny jest to głosić energicznie maksymę: zwyciężyć albo umrzeć.

Bezkarność w czasie pokoju, pełność łupu po zwycięstwie, oto prawdziwy honor żołnierza, jedyny, na jaki mu pozwalam. Nie widzę potrzeby jakiegokolwiek honoru dla innych stanów.

Ubogi tubylec winien grabić podróżnych.

I po co dbać o dyliżanse w kraju, w którym podróżuje się tylko z konieczności.

Po zaspokojeniu potrzeb reszta należy do skarbu.

Dyscyplina wojskowa, najdoskonalsza ze wszystkich, wszędzie jest dobra i wszędzie możliwa.

Pomiedzy społeczeństwem z żelaza a społeczeństwem ze szkła lub porcelany nie masz wyboru.

Powiększać niewolę pod pozorem przywileju lub dyspensy, to w jednym i drugim przypadku dawać poznać w sposób najmniej obraźliwy dla faworyta i najbardziej niegodziwy dla całego narodu, że jest się panem. Każda dyspensy jest naruszeniem prawa, a każdy przywilej uderzeniem w powszechną wolność.

Wiązać ocalenie państwa z jedną osobą — oto przesąd powszechny, który pociąga wszystkie inne. Uderzyć w ten przesąd, z miejsca zbrodnia obraży majestatu.

Wszystko, co przynosi zaszczyt w monarchii, jest tylko patentem niewoli.

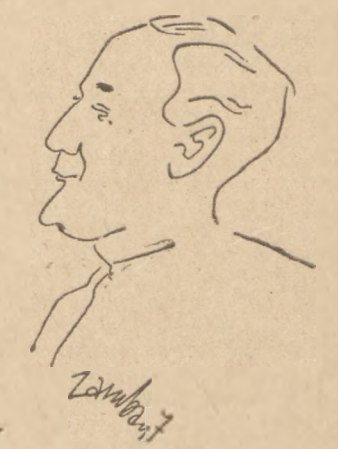
Przystoi, aby jeden umierał za lud, a wszyscy za panującego. „Expedit unum pro populo; omnes mori pro rege”.

Nazywać swoich niewolników obywatelami, to bardzo pięknie; ale lepiej byłoby nie mieć niewolników.

Niech lud nie widzi nigdy przelew krwi królewskiej, z jakiegokolwiek by to było powodu. Publiczna kęń króla zmienia na zawsze ducha narodu.



Włodysław Broniewski



Kazimierz Brandys



Paul Hertz



Stanisław Jerzy Lec



Stanisław Ciechomski



Juliusz Żulawski

Szczecin — port świata

Szeroka, daleko rzucona ulica Ku Słońcu wiedzie w Szczecinie na Cmentarz Centralny. Z szos biegnących jego brzegami na Meklemburgie nie widać pomników. Aleje wchodzą w cmentarz jak dukty w las: rozchylają na boki niskie pnie drzew, po raz wtóry odgarniają w głąb groby. Hałas autostrad rzednie między konarami. Srebrzysto-zielone korony brzoź i japońskich jodeł rozpięły ciszę nad grobami. Ogromny park pochował umarłych.

Jakby zboczenie z szybkobieżnej szosy było krokiem w przód — pustka i cisza wciągają coraz głębiej. Rzednie las, gęstnieją kamienne pnę nagrobków; nagie polany otwierają się szeroko przed ścianą krzewów. Pustym niebem wzrok żegluję szybko na przeciwległe wyspy umarłych.

Spoczywają w gajach krzewiastych się w zieleni polan jak wyspy archipelagu w morzu. W kącie prostym dwóch płyt pomieściła się ostatecznie ich sprawa. Mówią, jak długo żyli, czym byli — wszystko, o czym wiemy bez nich. Słowa nie mogą padać w sprawie, w której przyszedłszy na cmentarz.

W napisach nagrobnych szczególnie ujawnia się niemość wszystkich: wiar: jedyny ślad, jedyna wskazówka, jaką zmarli mogą zostawić żyjącym — jest adresem ziemskim.

Przychodnia na szczeciński Cmentarz Centralny od razu od bram obejmuje głęboki spokój. Bo to bramy parku, ogrodu, nie cmentarza. Grabarz przestrzegł tu płastyki wzgórz, polan i zagajów. Zachowując łagodne proporcje natury — nadał jej równocześnie zbiorowiskom grobów. Uniknął zgłębiu zatłoczonych grobami pól.

Utrzymano tu równowagę między naturą i śmiercią, między skupiskami drzew i grobowych pni; także wiele spokoju zyskał cmentarz na tym posuszeństwie! Na rozmiarach zmarłych z dala od siebie, w coraz odleglejszych ośpiach, coraz skrytszych ustroniach!

A jednak wystarczy tu skrócić w pierwszą boczną aleję, w jakąkolwiek ścieżkę, by znaleźć się w kręgu jakiegoś konfliktu — w ramach tego posuszeństwa. Jakby Niemcy — współtwórcy tego cmentarza, zaplątali się w ten spokój. Jakby nawet wiecznie spoczywać naród ten umiał tylko na „spoczynku”.

Wewnątrz zagajników, gdzie tylko mogli, ułożyli się w długie równane szeregi. Klamry dokładnie ongiś strzyżonych żywoptów spieły groby w geometrię wielkich, prostokątnych ogrodów. Każde grób wielkiego ogrodu leży wewnątrz niższych żywoptów, we własnym, niższej strzyżonym ogródku. W każdym ogródku stoi krzesło. Wszystkie jak krzesła parków w jesienne szarugi.

Zduszone zwałonymi mostami lewe ramie Odry wiedzie w tym mieście na drugi Cmentarz Centralny — stary Szczecin.

W nocy płonące pośród ramion delty i wysp setki amerykańskich „Liberatorów” pomieszało najstarsze stoje miasta z kamienną obręczą nabrzeży i zyspało stare spichrze, stare flamandzkie fasady, brunatne jak cynamon Nadodrze w gruz, w rumowisko. Tajfun wybuchów poskręcał ramiona dźwięgów, wgiął w ziemię powietrzne tory suwnic, obalił żelazne stąple stoczni. Nie ma starego Szczecina.

Na półkolistych, kamiennych murach nadodrzańskich, amfiteatralnej Hakenterrasse — od dwóch lat Wałów Chrobrego — zostały kuły w prostokątach, szerniałe herby miast — na zachód i wschód od portu: krzyże i baszty nadwodnych zamczysk, drapieżne orły i biskupie infuły, łódzie i pastorały.

Rodowy orszak rozpoczynało tu miasto, w którym kończyła się Trzecia Rzesza — Flensburg. Kolejno, z zachodu na wschód, defilowały półkolem herby — i podpisy: Kiel, Stralsund, Greifswald, Anklam, Swinemünde, Kolberg, Stolp, Danzig, Elbing, Königsberg, Memel.

Kiel i Stralsund pozostały dalej Kiel i Stralsund, ale Swinemünde to jest już Swinowucie, Kolberg znów Kołobrzeg, Elbing — Elbląg, a Königsberg — Kaliningrad.

Nie ma starego Szczecina, jak nie ma starego Gdańska.

Tylko herbom kamiennych Hakenterrasse przywrócono stare, własne imiona: Słupsk, Gdańsk, Kołobrzeg.

Nie ma już niemieckiego ramienia Hanzu na wschód od Wałów Chrobrego. Jeszcze w listopadzie niemieccy kapitanowie wielkiej żeglugi czekając na dyspozycje wysłali z plecakiem na ramionach przed szczecińskim kapitanatem portu. Czerniały zimną herbą o nazwach dziwacznych, niezrozumiałych dla dzieci bawiących się na kamiennych schodkach amfiteatru Wałów Chrobrego. Teraz nie ma już nawet tych ostatnich niemieckich kapitanów obsługujących holowniki, a dzieci czytają Leba, Sopot, Gdynia i patrzą poufale na twarz kamiennego biskupa.

Nikt nie zachodzi na nadodrzańską skarpe zwalisk starego miasta, nikt nie siada na krzesłach Centralnego Cmentarza. Nie ma Starego Szczecina.

Stare miasto schodziło coraz węższymi uliczkami, skarpią w dół, przez rzekę, na wyspy Odry. Nowe

rozpryska się jak gwiazda, na płaskiej nadodrzańskiej wyżynie. Ośmioma ulicami na ośmiu stron świata rozchyła się plac Grunwaldzki w wielki wieniec placów — Zgody, Sprzymierzonej, Niezłomnych, Łotników, Przyjaźni, Zwycięstwa, i każdy plac wypuszcza nowe, coraz obszerniejsze pędy ulic ku coraz rozleglejszym placom, co raz śmielszym alejom, by w końcu rozpaść się w dalekie kręgi willowych, portowych i robotniczych dzielnic.

To miasto nie budzi niepokoju. Skrzyżowania jego ulic i placów to skrzyżowania dostatków i rozmachu, sytości i spokoju. Chociaż często piękniejsze, jednak zawsze takie same zaczynają się tu z kolei aleje. Nie porównywalne wzrostem rozmachu dzielnic. Nie wciągają płaskie, szerokie ulice. Wszak żyją nie swoim życiem.

Widne, ludne miasto ośmiokątnych placów i willowych dzielnic wyrastało z miasta starego, z jego wysp, stoczni i przeładunkowych urządzeń. Każda nowa dzielnica mieszkalna Szczecina ma swój rodzaj w nowym oddziale którejś stoczni, w nowoutawionych dźwigach, w nowym milionie ton przeładunku. Nowe miasto budowało się z pracy dźwigów i elevatorów pochylonego nad Odrą miasta starego, z obrotów w jego kantonach. Wszystko, co osiedlało się w tym szerokim mieście na wyżynie, osiedlało się dla ciasnego, tłoczego miasta w dole.

W Szczecinie tunel stacyjny wyrzuca przyjeżdżnych twarzą prosto na Odrę, na kamienne ramy wysp. Ale żaden prom, żaden statek nie kołysze się tu na falach. Zwalone mosty wycinają między ścianami martwych magazynów puste, sennie przestrzenie wodne, skracają jeszcze więcej drobne fale głębokiej rzeki, czyniąc je bardziej nerwowymi. Niepokój tych krótkich, przez mowy roztrząsanych fal, między opadymi przesłami i wypalonymi spichrzami, udziela się każdemu przybyszowi. Jak i one biegną czy wokół między nadbrze-

żami, w przecieczu jakiejś innej, ukrytej za narożnikami murów stacji kontynentów. Nie może tak marnie skończyć się tak wielka rzeka.

Jest to pierwsza droga każdego przyjeżdżnego, każdego osadnika, nawet jeśli pierw udaje się tramwajem do miasta na wyżynie: droga do portu. Po lewej szczybi się skarpa zburzona starego miasta, po prawej milczą zabudowane, bezludne wyspy. Za czwartym, ostatnim mostem rzeka się zaludnia. Przybijają i odpływają holowniki. Syreny torują statkom drogę w kanały między wyspami.

I tu, u końca bulwaru Vasco da Gama, u stóp Wałów Chrobrego mieści się mała przystań statków, ale wielka ludzi, którzy przyjeżdżają do Szczecina.

Dla tych stu dwudziestu tysięcy Szczecin jawił się nową Gdynią. Był najbardziej osiągalną szansą materializacji ich idei morza.

W Gdyni trzeba było latami dorabiać się mieszkanią, w porcie są już podzielone i zajęte. Nie tak łatwo wcisnąć się tam dziś ze swoim warsztatem, ze swoim życiem. Żeby być w Szczecinie, żeby mieć mieszkanie i sklep w portowym mieście, wystarczyło wziąć kartę z PURu i wsiąść do pociągu. A nawet tylko wsiąść do pociągu. O wiele łatwiej niż dwadzieścia lat temu na chylonych torowiskach! Dwadzieścia lat pracy potrzebował; gdyścy ludzie, żeby dojść do tego, do czego z nocy na dzień dochodziło szczecińskie sto dwadzieścia tysięcy.

Osadnictwo szczecińskie było jakas w czasie i trudzie skróconą Gdynią, było szybkim jak wylew powodziem tamtego mozolnego drążenia, tamtej wędrowki narodu nad morzem.

Dość nadodrzańskich pustyni w ciągu paru miesięcy po odejściu Niemców rodził się polski stutysieczny Szczecin.

Jedni ludzie jechali tu jako do miejsca, skąd najlepiej byłoby im wyruszyć znów na „Zawiszy Czarnym” na rejsy, skąd bliżej Danił,

brzegów Szwecji i cieśnin Sundu. Drugi z centralnej Polski godzili się na murarę w odbudowywanej hucie, żeby wśród pobliskich wysp i zalewów pędzić swój własny żywot rybaka. Trzeci Niemcy wywieźli spod Sochaczewa i Turka, ze wsi, w których nie było rzek, z pól nie pociętych kanałami — na roboty do portu. Byli na statkach pomocnikami palaczy i nie zapomnieli widoku oglądanego w chwilach, gdy wychylali głowę nad pokład: błękitnej, lasami wysp porosłej delty. Zostali tu już na zawsze, albo wracali niedługo po odejściu Niemców już na pokłady, na jachty, do straży morskiej i do stoczni.

I ostatni, najliczniejsi, którzy długie lata marzyli o Gdyni i Gdańsku, ale dla których nawet po wojnie na starym wybrzeżu za brak miejsca. Których w głębi polskiej prowincji latami uwodził i niepokoił miraż morskiego miasta. To inżynierowie i mechanicy, co liczyli, że staną przy warsztatach stoczni, do których zachodzić będą na remont także cudzoziemskie statki, że będą tu ustawiać dźwigi i dotykać codziennie burty świata. To wreszcie ci, co aż do Gołębina założyli wzdłuż nabrzeży Odry samotne sklepy „spożywczo-portowe”, „różne” kajuty, to kupcowe zmykające nad ranem ze statków z towarami, najczęstsze klientki celników.

Trzeba tedy robić wszystko, żeby ci ludzie nie opadali, żeby jedyny po Gdyni, najgłębiej morski proces osadniczy, dzięki któremu powstał polski Szczecin, nie poszedł na marne. Żeby materializował się, utrwalał we właściwych morskich proporcjach, czyli żeby Szczecin żył przede wszystkim portem a nie województwem.

Trzeba zrobić, co tylko można, żeby ludzie, którzy marzyli o handlu z Santiago i Sztokholmem, nie przywykali do handlu ze Słupskiem i Stargardem.

Żeby ich nęcił i gnębił marzony i nie pozyskany, nie objęty jeszcze świat. Żeby nie przyzwyczajali się zdobywać go na dorocznych balach morskich, przez czule fotografie na tle fal morskich wymalowanych na płótnie.

Żeby czuli się portem świata, a nie prowincją Warszawy.

Franciszek Gil

List z Wybrzeża

Dla wytworzenia sobie pełnego obrazu struktury kulturalnej Wybrzeża — należy przy zaznajomieniu się z nią uwzględnić pewne naturalne podziały geograficzne.

Wybrzeże polskie jeszcze ciągle dzieli się na dwa odrębne i autonomiczne ośrodki kulturowe: na stare Wybrzeże, z którym automatycznie i całkowicie zespoliły się tereny byłego Wolnego Miasta, oraz na obszar zachodni z punktem centralnym (kulturalnie a nie geograficznie) w Szczecinie. O ile pod względem gospodarczym życie trzech głównych miast nadbałtyckich: Gdańska, Gdyni i Szczecina jest już całkowicie między sobą powiązane i zharmonizowane — o tyle więź duchowa między Gdańskiem i Gdynią z jednej, a Szczecinem z drugiej strony, jest ciągle jeszcze równie słaba, jak — dajmy na to — między Szczecinem a Łodzią.

Szczecin żyje autonomicznym życiem kulturalnym i ma własne, nie raz wygórowane ambicje kulturowe. Motorem tych ambicji jest duch Nowego Ładu, który wyjątkowo silnie ożywia to miasto. Zaborczy patriotyzm szczeciński zabija bez litości wszystkie dawne sentymenty lokalne. Chyba tylko w Szczecinie można spotkać byłych warszawiaków, którzy bezapelacyjnie wywrzeli się Warszawy na rzecz nowego miasta.

Szczecin ma własne oddziały wszystkich związków artystycznych, dwa teatry a nawet własny tygodnik, poświęcony sprawom kulturalnym, również pod nazwą „Szczecin”, który zresztą posłuszny granicom zakreślonym przez tytuł — rzadko dociera nawet do Gdyni.

Aczkolwiek ambicje kulturowe Szczecina wnoszą i podnoszą na duchu swoją energią kinetyczną — to realizacja ich pozostawia na ogół wiele do życzenia. Zasklepanie się w sobie oraz brak wystarczającego zespołu odpowiednich ludzi znaczą większość szczecińskich poczyną kulturalnych wyrażymy piętrem prowincjonalizmu. Jeżeli obecny stan rzeczy nie ulegnie zmianie — to w przyszłości

ści ten prowincjonalizm może niebezpiecznie zaważyć na życiu kulturalnym Wybrzeża.

Drugi zasadniczy ośrodek kulturowy, rotworek Wybrzeża, to trzy sąsiadujące z sobą miasta, które przyszość ma połączyć w jedną metropolię: Gdańsk, Sopot i Gdynia. Ośrodek ten znacznie góruje nad Szczecinem potencjałem kulturowym, natomiast odznacza się mniejszą od niego energią kulturalną. Różny stopień zniszczenia wojennych oraz odmienna struktura ludnościowa złożyły się na to, że każde z trzech wymienionych miast posiada inne nasilenie życia kulturalnego. Główną i — jeżeli można tak rzec — urzędową bazą kulturalną jest Sopot. Tu mieszcza się siedziby oddziałów trzech związków artystycznych, Filharmonii Bałtycka, Akademia Sztuk Pięknych oraz dwa dość ruchliwe kluby: artystyczny i literacki. Tu wreszcie gromadzą się artyści o uznanych już talentach i nazwiskach.

Pełny rozwój życia artystycznego Sopotu ciągle jeszcze hamują nie tylko trudne warunki lokalowe. Mimo zdecydowanych posunięć władz, które już w znacznym stopniu oczyściły miasto z elementów niepożądanych, jeszcze wiele pięknych will sopockich okupowanych jest niemal wyłącznie przez fikcyjne „martwe dusze”, podczas gdy pełnowartościowi obywatele kulturalnej stolicy Wybrzeża — żywi i prawdziwi artyści oraz szkoły artystyczne — gnieźdzą się nadal w pomieszczeniach utrudniających — jeżeli nie uniemożliwiających — wręcz — pracę twórczą. W każdym razie od zeszłorocznej manifestacji bezdomnych studentów Akademii Sztuk Pięknych sytuacja uległa wyraźnej poprawie i w cieniu dwulokusowych lokali rozrywkowych hotelu Grand i Bungalovu, które zdążyły sobie już zdobyć złą sławę w całym kraju — artyści sopocki powoli, ale konsekwentnie wyrabiają sobie coraz szerszą przestrzeń życiową.

Życie kulturalne Gdyni jest od sopockiego znacznie uboższe. Co prawda od przyjazdu Iwó Galla Gdynia stała się stolicą teatralną, ale za to w innych dziedzinach kulturalnych panuje tu niemal zupełny zastój. Jedynym przejawem gdyńskiego życia literackiego są organizowane przez „Czytelnik” „Czwartki literackie” oraz „Srebrdy artystyczne” w zarządzie miejskim. Imprezy te, zarówno pod względem poziomu artystycznego jak i frekwencji publiczności, pozostawiają wiele do życzenia. Ale za braki te nie można winić organizatorów. Gdynia jest całkowicie wyjątkowa z literatów i prelegentów muszą być każdorazowo importowani z zewnątrz. A że przy honorariach, wahających się od 500 do 1000 zł. za wieczór, import ten napotyka na poważne trudności — temu również dziwić się nie można.

Żuż nieco lepiej przedstawia się sytuacja w dziedzinie muzyki i plastyki. Muzycy skupiają się przy Gdynińskiej Szkole Muzycznej. Plastycy w nowoutawionym salonie artystycznym „Rytm”. Bardzo pocieszające jest, że malarze gdyńscy w przeciwieństwie do sopockich — przejawiają w swych pracach wyraźne tendencje marynistyczne. Szkoda tylko, że właśnie oni pracują w szczególnie trudnych warunkach.

Jeszcze inaczej wygląda sprawa kulturalna w Gdańsku. Gdańsk z trzech miast traktowany najbardziej po macoszemu, jest jeszcze ciągle dla pracowników kultury trudnym terenem pionierskim. Gdyby nie wysiłki Amatorskiego Zespołu Artystycznego, niezmordowanej Malwiny Szczepkowskiej — Gdańsk do chwili obecnej nie miałby żadnej placówki artystycznej. Obok tego amatorskiego teatru, który dzięki umiejętności kierownictwa stał się cennym wkładem w życie kulturalne Wybrzeża — Gdańsk posiada jeszcze tylko tzw. „Bractwo Literackie”. Bractwo to rozwija niezbyt ożywioną działalność, polegającą głównie na organizowaniu samokształceniowych odczytów kulturalnych.

Tak mniej więcej w najbardziej powierzchownym zarysie przedstawia się struktura życia kulturalnego na całym Wybrzeżu. Jak widać, nadmorski ośrodek kulturalny jest jeszcze słabo zorganizowany i rozbity przez partykularyzm. Centralny Dom Sztuki i Kultury, mający w najbliższym czasie powstać w gmachu Polonii we Wrzeszczu, wpłynie niewątpliwie na polepszenie sytuacji na odcinku gdyńsko-gdańskim. Ale instytucja ta nie wystarczy dla zestrojenia ośrodka gdyńsko-gdańskiego ze Szczecinem w jeden potężny rezerwuwar polskiej myśli morskiej. Dla tego celu potrzebne jest stworzenie tygodnika lub dwutygodnika poświęconego sprawom kultury, który potrafiłby swym zasięgiem objąć całe pięćsetkilometrowe Wybrzeże.

dr J. P. Zajączkowski

(Grójec k. Warszawy)

Marian Brandys

Korespondencja

O FRANCJI

Do redaktora „Odrodzenia”.

Z uwagą i zainteresowaniem przeczytałam numer „Odrodzenia” z 13 lipca br. poświęcony Francji. Sposób, w jaki pisze się w Polsce, gdzie od wielu lat nie byłam, o Francji, w której żyję od dłuższego czasu — jest dla mnie szczególnie ciekawy.

W numerze, o którym mowa, przeczytałam kilka pięknych artykułów. Doskonały artykuł Pruszyńskiego, wyróżniający się spośród innych brakiem stylizacyjnych i upraszczających skrótów i niezmierzonym p r a w d z i w y w uchwyceniu sensu tęsknoty za Francją. Bardzo interesujący artykuł Żuławskiego, urzekający nurtem słowa i skoncentrowaną obserwacją.

We francuskim numerze „Odrodzenia” znalazłam wiele rzeczy słusznych, trafnie podchwyczonych i wyrażonych. Znalazłam wspomnienie z przeszłości i nawet nieco bistrzych spojrzeń w przyszłość. Co ważniejsze znalazłam dużo miłości do Francji. Wiele zrozumienia dla jej czaru. Nie znalazłam rzeczy jednej — Francji.

Zastrzegam się z góry, że nie mam w tym wypadku nastawienia „politykocentrycznego”. O polityce informują dzienniki i agencje prasowe. Ale biada pisarzowi, dziennikarzowi czy publicyście, który chce pisać prawdę o Francji zapomina, że jest ona jednym z krajów, w których związek między polityką a życiem codziennym jest niezmiernie łatwo uchwytany, że sam się poniekąd narzuca! Jednym z krajów, w których polityka schodzi na ulicę, do piekarni, do szewca, do „kafelki”, do kina.

Dzieją się teraz we Francji rzeczy wagi ogromnej. Napór amerykańizmu jest coraz widoczniejszy. De Gaulle staje się symbolem zupełnie już dziś jednoznaczny. Kierownictwo partii socjalistycznej idzie coraz bardziej na prawo. Front byłych „monarchijczyków” krystalizuje się coraz wyraźniej. Jeden z autorytetów literatury francuskiej, François Mauriac, obejmuje duchowe przewodnictwo w krucjacie przeciw komunizmowi. Jean Paul Sartre głosi pseudostoiści petyzmizm, a ze senny szkaluje „Résistance”. Jednocześnie człowiekowi żyjącemu z własnej pracy coraz trudniej powiłać koniec z końcem. Toteż wznaga się niezadowolone i gniew, toteż niezależnie od partii, na którą głosuje, i od gazety, którą czyta, świadomość własnego interesu wśwa się tysiącami kanałów w codziennie życie Francuza. Proszę stanąć w ogonku i posłuchać rozmów. Porozmawiać z épiciorem. Przysłać mi swoje okłaski w kinie. Jakież łatwo będzie stwierdzić wtedy, że i tu, na zachodnim szacu Europy walka objęła szarego człowieka. I że jest to walka uporczywa, namiętna, narastająca, zacięta.

Nie z tego nie znalazłam we francuskim numerze „Odrodzenia”. Snuje się w nim obraz jakiejś Francji ponadczasowej, wiecznie uśmiejniętej, Francji widzianej w załamaniu promieni intelektualnego współoddziaływania — ale nie Francji, którą się zna, w której i którą się żyje.

Raz jeszcze odpowiadam na ewentualny zarzut jednostronności politycznej. Nie twierdzę bynajmniej, że każdy Francuz jest żołnierzem walczącym świadomie po jednej lub po drugiej stronie frontu. Nie sądzę wcale, że świadomość każdego Francuza jest jednoznacznie polityczna „zaangażowana”. Ale pokazywać czytelnikowi polskiemu Francję bez niepokoju, który ją draży, bez tej atmosfery alarmu, odczuwanej w chwili obecnej, przez mniej i bardziej świadomych, Francję bez zmagania, jakie przeżywa — pokazywać ją tylko od strony stylizowanych przekrojów i syntez łatwiej lub trudniej sprawdanych i rozpyliających się w strumieniach werbalizmu, tylko od strony mniej lub bardziej lirycznych wspomnień — to uważam za rzecz niedopuszczalną, fałszywą prawdę i wypaczającą cel, jaki — mam nadzieję — przyświecał redakcji „Odrodzenia”, gdy wydawała numer francuski.

Kamila Chylińska (Paryż)

W SPRAWIE TEGOROCZNEJ NAGRODY

Do redaktora „Odrodzenia”

Należę do tych przedwojennych idealistów, którzy zachowali jeszcze, mimo zajęć zawodowych, nałóg czytania książek; prenumeruję wszystkie nasze pisma literackie (chyba tylko na prowincji są jeszcze tacy zatwardziałcy) i staram się nie ominąć żadnej nowej polskiej książki. Zdaje mi się także, że — jak to mówią — „idę z duchem czasu”, widzę dokoła siebie rozmaite ciekawe rzeczy i wciąż staram się doszukać ich odbicia w literaturze.

Niewiele tego jest, i rozumiem, że nasza literatura, na innych obyczajach chowana i bardzo w swoje rzemiosło zapatrzona, nie od razu może się zmienić. Toteż bardzo mnie ucieszyło, kiedy „Odrodzenie” ufundowało nagrodę literacką za najlepszą książkę: taka nagroda powinna chyba przyczynić się do tego, żeby to jakoś prędzej poszło.

Tak to sobie wszystko wyobrażałem, i trochę bałem się nawet, czy — kiedy to nowe przyjdzie — potrafię jeszcze, stary koń, za tym nadążyć, czy nie wypadnie mi już raczej zostać przy tych książkach, które polubiłem dawniej: przy Bal-

zaku, Tomaszu Mannie czy Roger Martin du Gardzie.

Zeszłego roku nagrodę dostał Breza i to mi się wydało słuszne. Trochę tam może z Kadena i nie o dzisiejszych czasach, ale i o dniu wczorajszym warto potomności coś prócz Kadena zostawić: zawsze to prawdy bliższe.

Ale w tym roku wszystkiemu mi się poklepało. Iwaszkiewicza znam i cenię od dawna, pamiętam i „Zenobie Palmure” i „Hilarego syna buchaltera”, a „Panny z Wilka” uważałem za jedną z tych książek, które powinno się mieć w domu, by do nich zaglądać, ilekroć przyjdzie ochota. Takim kunstem piarskim niewiele u nas przed wojną mogło się poszczycić, a że jedynie ten kunst wtedy był w cenie, słusznie więc Iwaszkiewicz — początkowo najcichszy, najmniej płodny, najbardziej hermetyczny skamandryta — zajął w końcu wysokie miejsce. Muszę przyznać zresztą, że nie wszystko o niego równie mi się podobało; miałem więc pretensje np. do „Lata w Nohant” nie tylko o to, że z George Sand robi starą wiedźmę, ale i o to, że — jakby z tej sztuki wynikało — twórczość jest dla Iwaszkiewicza czymś zupełnie oderwanym od wszelkich marności tego świata, czy to będzie socjalizm czy udko od kury.

Nie znam „Nowel włoskich” i nie wiem, czy to prawda, co o nich opowiadał. Żartowałem dawniej z tych, co to byli w Rzymie, a papieża nie widzieli; a podobno Iwaszkiewicz był przed wojną we Włoszech, a nie zauważył Mussoliniego? Czytałam „Starą cegielnię” i nawet pomyślałem sobie, że — choć Iwaszkiewiczowi bardziej przystoi lira niż kielnia — przecie to nawet ładnie, że on, stary, młodych uczy, jak dziś pisać należy.

Czytałam także „Nową miłość”. I znów proszę mnie źle nie rozumieć: kunst to wysoki, siła wyrazu taka, jakiej jeszcze u Iwaszkiewicza nie było. Ale zarazem jest w tym jakiś nowy dla niego ton, jakiś program nie tylko artystyczny, o jaki Iwaszkiewicz dawniej trudno było posągać. Bo przecie należał on do tego pokolenia pisarzy, które apolityczność uważało za najszybciej swój sztandar, które konsekwentnie i wytrwale — niczym Chopin w „Lecie w Nohant” (choć nie w życiu) — odrzucało się tyłem do wszelkich zjawisk i zagadnień społecznych, a program — nie artystyczny — uważało za rzecz niegodną literatury. Tymczasem tak się właśnie stało, że ci bezprogramowcy teraz właśnie odnajdują programy życiowe — i to wcale nie najlepsze. „Nowa miłość” to bardzo brzydki program. Ze wszystkich opowiadań wynika jak na dłoni, że jedynym skutkiem poczynania człowieka jest, iż los śmieje się

z nich w kulak, a mądry jest ten tylko, kto nie otwiera drzwi, kiedy puka do nich zniszczenie jego marzeń. I sądzę, Panie Redaktorze, że choć to piękna książka, ale nagrody nie należało jej dawać, jeśli w naszej literaturze ma się coś odmienić.

Bo proszę tylko popatrzeć: p. prof. Pigoń powiada w swym przemówieniu, że ruch wydawniczy rozrasta się o „owocowanie literackie coraz łatwiej ujawnia się oczekającym oczom”; to znaczy chyba, że w literaturze pojawiają się nowe nazwiska, nowe prądy. Mówi też, że jury miało „zarówno owoce z drzew dawniej już rozrosłych, jak też szeroki dobór roczników nowych... Otóż tu i tam uderzyć musi nowotność owoców, ich w stosunku do produkcji wczorajszej odrębność. Czas dzisiejszy zapowiada się nie jako okres dalszego ciągu i odbitek, ale jako czas, w którym „rodzi się Nowe”. Nie tylko w życiu społecznym. Także w dziedzinie twórczości jawią się nowe problemy; w tematyce jak i w wyrazie szuka się nowych dróg, pulsuje pasja oryginalności...”

„Pasja oryginalności”... ta chyba pulsowała u nas od dawna; może by raczej należało trochę ją przykrócić? Ale z tą „nowotnością” literatury w wyrazie i w tematyce coś tu jest chyba nie w porządku: na ogół przecie mówi się raczej o tym, że nasza literatura nie dostrzega jeszcze nowej problematyki. A jeśli jury ją dostrzegło, jeśli się zadziwiło liczbie nowych nazwisk i nowych spojrzeń — to czemu wybr padł właśnie na Iwaszkiewicza? Czy mamy ową hłobową „vanitas vanitatum” uznać właśnie za najwyższy wyraz nowocześnieści? Bardzo się boję, czy czasem cały obraz nie został tu odwrócony do góry nogami po to, by to, co na nim stało głową na dół, mogło się wydać normalnie oparte na nogach.

I cóż się dalej dzieje. Przemawia potem Iwaszkiewicz i powiada, jak mi mówiono, że świadomość u pisarza jest właściwie na dalszym planie, że pisarz w gruncie rzeczy nie wie, co pisze, póki mu krytycy i dobrzy ludzie nie powiedzą. Więc znowu natchnienie, łaska Boża i nic więcej? No tak, tak by logicznie z werdyktu jury wynikało.

Sądów podobno nie wolno krytykować; ale chyba to nie dotyczy sądów literackich? Bo nie wydaje mi się, żebym to tylko ja już był taki stary, że tylko Prusa i Balzaka do poduszki, a nowych zostawić młodym. Może to raczej nam wszystkim — z Iwaszkiewiczem, Dąbrowską, Pigońiem i Parandowskim — pora już do lamusa?

Szkoła krytyków

Jeszcze o Przełęckim

Porozmawiamy znów o postaci Przełęckiego. Proponuję tę rozmowę, ponieważ od jednego z czytelników (czytelniczek?) otrzymałem list dotyczący jego osoby; list dostatecznie ciekawy, by z nim poruszać. Ale posłuchajmy najpierw, co list zawiera:

„Przełęcki był zdolnym pedagogiem i społecznikiem, ale tylko przeciętnym człowiekiem. Wydarzenia dramatyczne w swoich skutkach i przyczynach przepływały niezależnie od niego, a więc nie mógł być ich impresariem:

„Efekty pracy pedagogicznej i społecznej były dziełem zdolności i umysłowości Przełęckiego, ale nie mogłyby ich osiągnąć, nie mając podanych wykonawców. Przywołując tego rodzaju zawsze otacza nim uwielbienia owych wykonawców, skłonnych przypisywać im sukcesy niemal nadludzkie. Zdarzało się często nie tylko na scenie, ale przede wszystkim w życiu, jeżeli przywódca posiada obok zdolności pedagogicznych zdolność sugestywnego zniewalania ludzi. Dar ten ostatni w dużym stopniu miał Przełęcki w „Przebiegach”, a Osterwa w życiu. Sugestia zresztą działa tak długo, dopóki osobnik nie napotka obiektu psychicznego równego sobie albo mocniejszego. I to jest początek kariery Przełęckiego.

Natomiast Przełęcki zakochany w kochany stracił musiał ową moc sugestywną w pierwszej linii w stosunku do Smugonia, gdyż z chwilą ujawnienia się tej miłości staje się zwykłym człowiekiem, do tego niebezpiecznym rywalem. Czar jego pryska. Ale co dalej? Jakże wyjście ma Przełęcki?

Zostać? Robota nie pójdzie, bo wykonawcy, na których robota stoi, mogą zawieść. W każdym bądź razie straci rozpęd, który dał im Przełęcki nadczłowiek (w ich pojęciu), a obecnie ktoś im równy. Zatem wyjechać, ale jak? Zeromski rozwiązuje to zagadnienie bardzo po ludzku, niezwykle trafnie psychologicznie.

„Efekty pracy społecznej i uwielbienia wykonawców upajają każdego działacza, z jednej strony z bodźcem do dalszych wysiłków, z drugiej zaś działają demoralizująco. Działacz zaczyna po trosze wieść, że jest nadczłowiekiem i czuje, że zgrzywa się. Przełęcki zbyt już łuski w atmosferę uwielbienia, aby zadowolić się szarą ziarną życia. Musiał odejść efektywnie, aby nie

stracił nimbu we własnych oczach. Było to silniejsze od miłości do Smugonia. Więc zagrał, ale to grał nie Przełęcki-społecznik i pedagog, ale Przełęcki-egocentryk, który chciał ratować swoją wiarę w siebie.

Było trzecie wyjście: szczerze rozmówić się ze Smugoniem, przyznać się do swej słabości i wyjechać bez zgrzywania się. Na to wskazywać trzeba było być społecznikiem bazującym tylko na współpracy, a nie na przewodnictwie, należało na to zdobyć szacunek, a nie uwielbienie. Robota powolniejsza i mniej efektowna. Przełęcki z założenia samego autora takim typem nie był. Nie zgadzam się więc, aby Zeromski nie postawił kropli nad i. Przełęcki od początku do końca jest typem psychologicznie konsekwentnym.

Przepisawszy tezy — podyskutujmy. Jedno z cytowanego listu wynika w sposób niewątpliwy: postać Przełęckiego animuje nadil widzów i czytelników, jakby chodziło o kogoś całkiem bliskiego. Ta postać posiada cechy typu w ich oczach: Przełęcki, czyli działacz. Natomiast inne twierdzenia listu wydają się bardzo wątpliwe, ale w niekonsekwencji wynikającej właśnie z tego uwielbienia niezmiennie charakterystyczne.

Zważmy bowiem. Autor (autor-ka?) zakłada, że Przełęcki mimo swego talentu pedagogicznego był człowiekiem zbyt prostym, ażeby mógł być impresariem wydarzeń dramatycznych. Umówmy się najpierw możliwie ściśle co do znaczenia tego terminu. Pisząc impresario wypadków scenicznych, ani Kubacki, ani też ja nie mieliśmy na myśli człowieka, który drugim narzuca ich postępowanie, który tak płacze owe wypadki, by wydać upragniony przez niego rezultat. Chodziło w tej nazwie o człowieka, który z góry przewidując cel tego, co uczyni, tak inscenizuje swoje własne postępowanie, tak urabia doradcę sąd o własnej osobie, by zdołał w ten sposób osiągnąć potrzebny mu chwytliwy cel. W danym wypadku — by wzbudził niechęć tak silną, że jej maska pozwoli mu odejść bez postrzeżeń ze strony otoczenia, że chodziło przecież tylko o gre. A czy to nie jest impresario własnej osobowości, a poprzez nią cudzych postępków?

List pragnie dowieść, że nie, do wodzi zaś w istocie czegoś wręcz

przeciwne. Nazywa bowiem dokładnie sferę, w jakiej odbywa się gra Przełęckiego. Jest to sfera przemiana miłości własna, ba, egocentryzm, cechy, proszę przyznać, jak na działacza społecznego raczej ujemne. „Nie chce stracić nimbu we własnych oczach — chce ratować swoją wiarę w siebie.” Ależ miłość nawet na głowę tak wybitną, jak głowa Przełęckiego, spadająca niespodziewanie, nie jest występkiem aż tak wielkim, by w podobny sposób przed nią się ratować. Utratę nimbu i wiary widzieć może tylko typowy egocentryk i nim to jest Przełęcki. Chęć utrzymania się na poziomie wyższego rzekomo aniżeli u innych obyczajów psychologicznego stanowi bodziec jego decydującej gry, ale jest to przecież chęć dziwnego gatunku. Zamierzona przez mojego korespondenta (korespondentkę?) obrona wcale nie jest obroną. Raczej klienta jeszcze bardziej pograża.

Pierwsze zdanie listu celowo zachowałem na koniec. Oto przedstawiła koncepcja postaci Przełęckiego ma być własnością Juliusza Osterwy, człowieka równie w tej kwestii autorytatywnego co sam Zeromski. List powołuje się na rozmowy z nim jako podstawę takiego rozumienia osoby Przełęckiego. Szczegół to ważny — a przecież w pewnym sensie całkowicie zrozumiał. Ta potrzeba kultu, uwielbienia i ciepła, ta doniosłość czaru osobistego, na którego rzecz nawet sprawy obiektywne się poświęca, to nie tyle cechy docenta fizyki ze sztuki Zeromskiego — ile samego Osterwy. Rola Przełęckiego była, jak wiadomo, pisana „pod Osterwę”. I czy Zeromski na tyle uległ takim właśnie czarom osobistym i scenicznym Osterwy, że im to postanowił oddać najważniejsze miejsce swojego dzieła, że nim niejako postanowił zatęczać problem sceniczny, czy też Osterwa otrzymując gotową sztukę, zrozumiał ją wyłącznie według własnego ja — dociec doprawdy trudno.

Jedno jest pewne: przykład tak zupełnego zrośnięcia wykonawcy i wzoru postaci z jej późniejszą interpretacją, to przykład całkiem wyjątkowy. Przełęcki jako ta potrójnie złożona postać jest niewątpliwie osobnikiem konsekwentnym i całkowitym, ale konsekwentnym według indywidualnej psychiki Osterwy. Przełęcki natomiast jako uczestnik dramatu w jego przekazanym nam wyglądzie stonowym, Przełęcki, którego nie wspierają te fakty dalsze, a taki jedynie ważny jest dla badacza, tej konsekwencji nie posiada. Nie ratuje go sam tekst Zeromskiego.

kzw

WACŁAW KUBACKI

List z Poznania

Na tych paręset tysięcy gości, którzy odwiedzili Poznań w czasie Międzynarodowych Targów, czekały oprócz trudów zwiedzania terenów wystawowych także rozkosze artystyczne, o których przygotowaniu pomyślała Wojewódzka Rada Kultury, Towarzystwo Filharmonii Robotniczej, Opera, Muzeum Wielkopolskie, teatry i Kukulka Poznańska.

Oprócz wysokich przedstawicieli resortów gospodarczych zjechał do nas także minister Kultury i Sztuki, żeby wziąć udział w uroczystości rozdania nagród artystycznych wojewody poznańskiego. W ten sposób obraz budowy miasta i gospodarczego rozwoju państwa został szczęśliwie uzupełniony obrazem rozwoju kulturalnego.

Paru moich warszawskich znajomych, którzy z urzędu mieli w ostatnich miesiącach sporo roboty z powodu artystyczno-kulturalnej inicjatywy, jaką rozwinęło województwo poznańskie, przyjechawszy na Targi pytało się żartobliwie:

— Gdzie jest pawilon Woj. Rady Kultury?

Odpowiadaliśmy spokojnie:

— Mamy lekko licząc kilkanaście pawilonów wystawowych, porozrzuconych po całym mieście i otwartych okragły rok. Możemy panów zapewnić, że choć jest u nas trochę większy, no i bardziej sensowny niż w czasie Targów w bułgarskim kiosku z papierosami.

Rzecz była jasna. Wszystkie placówki artystyczne i kulturalne w mieście są wystawowymi pawilonami sztuki. Premiowane ekspozycje z dziedziny kultury nie potrzebują gablot. Spełniają ideał żywego muzeum kultury i sztuki. Zygmunta Latoszewski prowadzi operę, organizuje koncerty Towarzystwa Filharmonii Robotniczej i jeszcze znajduje trochę wolnego czasu na zasilenie ruchu muzycznego Krakowa czy Warszawy. Barbara Bittnerówna tańczy co wieczór w operze. Pełnią ją i młotymi naturami Stanisława Szczepańskiego może każdy uciechy czy w salach Muzeum Wielkopolskiego.

Główną nagrodę wojewódzką otrzymał konserwator Zdzisław Kę-

piński. Jego ekspozycje swymi rozmarami stanowią przekraczając wszelkie możliwości pawilonowe i to nie tylko na Targach Poznańskich! Wystarczy wziąć pod uwagę katedrę poznańską, w której dokonali ciekawych odkryć architektonicznych. Z tą sławną dzisiaj na cały kraj, a jutro także na cały świat katedrą to była osobiwa historia. Katedra, która uchodziła za najmłodszą w Polsce, okazała się niespodziewanie najstarszą. Nikt nie przypuszczał, że pod maską banalnego baroku kryje się wspaniała gotycka katedra, jedyna w Europie środkowo-wschodniej okaz gotyku francuskiego. Ujawniono nadto w katedrze ślady budownictwa wcześniejszego, romańskiego, a wykrop pod kściołem odsłonił mur prakatedry, budowlę pochodzącą z prawdopodobnie z dziesiątego wieku. Oto dostojna legitymacja naszej przeszłości i dowód, że w zaraniu dziejów utrzymaliśmy łączność z ogniskami wysokiej kultury na Zachodzie, omijając pośrednictwo obszaru niemieckiego.

Nadzwyczajne odkrycie nieznanej historykom sztuki zabytku budownictwa gotyckiego w Poznaniu budzi w nas oprócz uczucia radości i dumy także refleksje innej natury. Ogromna katedra gotycka to przecież nie szpilka, która może się łatwo zgubić. A jednak tak się stało z gotykiem katedry poznańskiej. Kościoły, jak wiadomo, przebudowywano nieustannie. Pożary i wojny dawały nieraz sposobność do popisu mistrzostwa szacownego cechu murarzy. Często ich sztuka okazywała się „sztuką wyzwoloną” najzupełniej z wszelkich skrupułów artystycznych. Gdzieś w osiemnastym wieku postanowiono ostatecznie „unowocześnić” i „upiększyć” starą świątynię. W tym celu dorabowano barokową fasadę, która zaporą z cegieł, kamieni i marmuru na sześć metrów grubą zakryła na długie lata ogromne gotyckie okno, portal i przypory. Ta potężna barykada odgradziła nas od gotyku, równocześnie jednak zabezpieczyła skutecznie szacowny zabytek nie tylko przed barbarzyńską ręką przyszłych poprawiających i przebudowujących, lecz także przed okropnościami wojny. Połaski armatnie w czasie zdobywania miasta przez wojska radzieckie mogły jedynie poszczerbić i to dość niedoleżnie, pancerz barokowy. Uszkodzenia śmiałyby badaczy do poszukiwań, studiów i „próbnych wierceń”, co w rezultacie doprowadziło do nadzwyczajnych odkryć.

Podobnie beceremonialnie, natywnie i dobrodusnie zmieniono gotyckie wnętrza katedry. Zgrabno niektóre filary i poprzędzano boczne nawy, tworząc z nich zamknięte kaplice, przez co znie-

kształcono pierwotną pięcikonową konstrukcję. Już przedtem padła ofiarą dziwnego nieporozumienia tryfrynia galeryjka, obiegająca całe prezbiterium — obecnie odnaleziona i wydobyta spod tynku przez konserwatora Kepińskiego. Okna zamurowano prawie do połowy wysokości, redukując światło. Wyrównano wszystkie ostre łuki do form półkolistych. W ogóle nie żałowano cegły, wapna i okładzin marmurowych. Zamurowywano wszystko co było ciekawego na ścianach: polichromie i obrazy. Mury gotyckie pogrubiały. Podwyższono dość znacznie posadzkę i obniżono sklepienie, zaakraglając je beczkowato. Ogromnym ołtarzem zasłonięto prezbiterium. Epoka wyraźnie chorowała na obawę przestrzeni.

Znikła dawna lekka, lotna, powietrzna katedra. Powstała nowa: ciężka, masywna, ciemna. I to wszystko uszło jakoś uwagi współczesnych i potomnych. Nikt się nie dziwił, nie protestował. Nikt pary z ust nie puścił, ani kropli inkaustu na papier! Dodajmy, że działo się to wtedy, kiedy ludzie więcej czasu spędzali w kościołach niż dzisiaj, i kiedy dosyć pilnie i skrupulatnie notowano, w jakich asystach i stróżach jeżdżali wielmożni na elekcje, koronacje i sejmy, lub ile beczek węgierskiego wina wypito na weselu jakiegoś Potockiego z jakimś Zamojskim. A potem mówimy z emfazą o pamięci historii!

Odlupywanie katedry z barokowej skorupy odbywa się ostrożnie i powoli — gotyk wychodzi na światło dzienne niczym kurczak z jaja, taki jakiś zmaltretowany, pomiotłszy, wąty, świecący goliznami. Każde narodziny są trudne, a cóż dopiero narodziny powtórne, w palingenezie stylów!

„Niemal do pracy przejść znów do światła: chciwie chwytą z ziemi nas bóg podziemny, ale nieraż zwraca” — skarży się duch Dariusza w tragedii Ajschylosa „Persowie”.

Gotycka katedra w Poznaniu to będzie zapewne kłopotliwy casus dla naszego biurokratyzmu w dziedzinie kultury i sztuki. Dla Poznania — bowiem, jak nas dochodzą słuchy, ośrodek dyspozycyjne nie przewidują zbyt wysokiego poziomu życia artystyczno-kulturalnego. Być może, iż stara gotycka katedra przechodzi „wypytowane” dla województwa poznańskiego normy architektoniczne i że zrekonstruowaną katedrę zabiorą do Warszawy, Łodzi, Radomia, Sosnowca lub Piotrkowa. Konserwator Kepiński, który przez obcowanie ze starymi zabytkami nabrał majestatycznego spokoju ducha, pociesza nas, że wówczas rozejrzy się po Poznaniu i odkryje nam coś jeszcze wspanialszego.

Wacław Kubacki

KRYSZYNA KULICZKOWSKA

Wśród klasyków literatury dziecięcej

Międzynarodowy Instytut Wychowawczy w Genewie rozpisal w r. 1928 ankietę, której celem było zbadać, jakie książki cieszą się wśród dzieci największym powodzeniem. Okazało się, że najpopularniejsze są baśnie ludowe oraz opowieści, które odzwierciedlają życie dzieci i harmonizują je światem ich zainteresowań. Pierre Bovet nazwał wówczas „książką klasyczną” nie tyle dzieło literatury pięknej, przystosowane do użytku dzieci, jak „Robinson Crusoe”, „Przygody Guliwera” itd., co przede wszystkim utwór pisany o dzieciach, dla dzieci i czytany przez nie dla ich własnej przyjemności, więc „Ala w kramie czarów”, „Pier Pan”, „Mały lord” itd.

Jest rzeczą oczywistą, że klasyczny repertuar książek dla dzieci nie może być repertuarem żelaznym, że winien podlegać kontroli pedagogicznej i artystycznej, zgodnej z wymaganiami czasu. Przegląd wydawnictw, które ukazywały się w naszym rynku wydawniczym w okresie powojennym, dowodzi, że wydawcy kierują się często tradycyjnym nawykiem, nie zadając sobie zasadniczego pytania: czy istnieje społeczna racja wznawiania danego utworu, lub przy najmniej: czy należy wznawiać go w dotychczasowej formie?

Pozycy, które można zaliczyć do kategorii utworów klasycznych, ukazało się po wojnie około 30, co stanowiło ponad 10% produkcji ogólnej (mowa o książkach zakwalifikowanych jako „dopuszczalne” przez Sekcję Bibliotek Dziecięcych w Warszawie). Ale i w tej liczbie są pozycje wznawione niepotrzebnie.

Przed wszystkim należy zadać pytanie, czy jest rzeczą dopuszczalną przy obecnych trudnościach papierowych wznawianie niemal równocześnie tych samych pozycji przez różne wydawnictwa? Oto przykłady: „Bajki” Andersena w pięciu wydaniach: u Gebethnera, Gustowskiego, Kota, Kamińskiego i w „Książce”, nie licząc pojedynczych bajek jak „Słownik” itd.; „Serce” wznawiono dwa razy (Gebethner i Kamiński), „Robinsona” też dwa („Książka Słaska” i Kamiński).

Drugie pytanie dotyczy tzw. szaty zewnętrznej. Czy warto wznawiać klasyków w takich, brzydlawo ilustrowanych wydawnictwach.

jeśli pozycje te w założeniu mają stanowić godną przetrwania podstawę księgozbioru? Mielśmy możliwość przekonać się w czasie zwiedzania międzynarodowej wystawy książek dziecięcych w Warszawie, z jakim pietysmem i wszelostronną troską o wygląd zewnętrzny, układ czcionek i rysunki wydają Czesi. A u nas? W „Przygodach Piotrusia Pana” po pierwszym przeczytaniu odpadła okładka, całe zaś partie nie zsztyt kartek są w „20,000 mil podmorskiej żeglugi”. Obronną ręką z tego przeglądu wychodzą wydawnictwa Gebethnera, który zarówno dla dorosłych jak dla młodzieży wybrał ostatnio szczęśliwą formę: płócienny grzbiet, sztywna okładka, doskonałe zszycie, a jednocześnie skromny gatunek papieru, co daje w sumie estetyczny wygląd przy umiarkowanej cenie.

Przyjrzyjmy się bliżej niektórym pozycjom. Oto kilka książek dla dzieci w wieku od lat 9.ciu do 14.tu: „Podróż” i „Cyk dr DoLittle”, Loftinga, „Przygody Piotrusia Pana” Barriego (wyd. Kamińskiego), „Mały lord” i „Tajemniczy ogród” Burnetta (wyd. Gebethnera), „20,000 mil podmorskiej żeglugi” Verne’a (wyd. Matuszewskiego), „Duch puszcy” Bida (Gebethner). Spośród tych pozycji jedynie wznawienie „Tajemniczego ogrodu” nie nasuwa zastrzeżeń. Ulobiona przez dzieci „tajemniczość” fabuły kojarzy się tu ze zdrową ideą społeczną: przemiana ducha w dzieło dokonująca się pod wpływem pracy i wiejskiego trybu życia. Już „Mały lord” tego samego autora — ta uroczą niedzisiejsza lektura rodziców i dziadków — budzi pewne zastrzeżenia. Ustalone hierarchia kastowa stanowi tutaj nie tylko tło, lecz problem: dziedziennia majątku i tytułu lorda jest kością niezgody, utrata tej możliwości staje się niemal tragedią, a odzyskanie pretekstem do stwierdzenia, że „naród, ażeby był wielkim narodem, powinien mieć magnatów, lordów, hrabiów”. Razi poza tym epoteka filantropii jako jedynego środka na nędzę społeczną. Tutaj nie wystarczą pewne skróty i mimo iż „Mały lord” posiada wiele wartości, do których należy między innymi — podobnie jak i w poprzedniej książce — brak protekcji w podejściu do dziecka oraz swobodny, bezkonwencjonalny stosunek do świata

dorosłych, wydaje się, że jego rola społeczna i wychowawcza zdecydowanie maleje.

Innego rodzaju zastrzeżenia budzą „Przygody Piotrusia Pana”. Otóż — mówiąc po prostu — utwór ten, przeznaczony dla młodzieży, jest niezbyt zrozumiały i nieco nudny. Leniwo tocząca się akcja rozgrywa się w parku Kenigstone w Londynie, którego tajemnice i uroki nie trafiają do polskiego dziecka.

Drugi klasyczny utwór literatury angielskiej, który mimo wysokiej wartości wychowawczej jest dla dzieci dość trudno czytelny — to „Podróż dr Dolittle” (wyd. „Książka”). Opowieść nacechowana jest prawdziwym humanitaryzmem, miłością zwierząt i poczuciem humoru, lecz w wielu momentach treść jest zbyt subtelna i filozoficzna.

„20 tysięcy mil podmorskiej żeglugi”, jedna z najbardziej popularnych książek Verne’a, należy do ulubionego w okresie pozytywizmu rodzaju powieści, w której fantazja oparta na hipotezach naukowych kojarzy się z wiadomościami z przyrody i techniki. Potrzeba takich książek w dzisiejszym dobie, w związku z rozbudowaniem literatury popularno-naukowej i wszelkich utworów „pogranicznych”, jest może mniejsza, a ujemna ich strona jest pomieszczenie fantazji z rzeczywistością w taki sposób, że mały czytelnik może być wprowadzony w błąd; należałoby w każdym razie i tutaj zaopatrzyć utwór wstępem, który wyjaśniłby, w jakiej epoce powieść została napisana i do jakiego typu należy. Powieść posiada poza tym wiele nuzących dłużyzn, które można by bez szkody dla całości usunąć.

Popularność „Ducha puszcy” już przed kilkudziesięciu laty budziła wątpliwości z racji krzywdzących momentów i jaskrawo sensacyjnej fabuły (apoteusza krwawej zemsty, skąpowanie, wycinanie siewiera krzyża na piersiach, wódz, który „ziopie gorącą krew niewiast i dzieci” itd.). Dzisiaj, gdy młodzież ma do dyspozycji powieści Curwooda („Łowcy wilków” i „Włóczęgi” wydane na nowo przez północny wydawnictwo), należałoby — zwłaszcza wobec spotęgowania instynktu okrucieństwa w okresie powojennym — mimo po-

czytności „Ducha puszcy” (obecne wydanie jest piętnaste z rzędu) — odczytać go do lamusa.

Na uwagę zasługują jeszcze dwa wydania „Serca” Amicisa. Gebethner wznawia „Pamiętnik chłopca” w przekładzie Konopnickiej, ze starożyteckimi rysunkami dawnych wydań oraz piękną winiętą J. M. Szancera. Trzeba przyznać, że tego rodzaju forma najlepiej harmonizuje ze stylem utworu. Nowe opracowanie Witolda Zechentera (wyd. Krzyżanowskiego) jest skrótem; tłumacz usunął te momenty, które związane są z przeszłością historyczną Włoch (o królu Humbertie, Wiktorze Emanuelu, Cavourze), oraz momenty o charakterze mistycznym. W samym tłumaczeniu, starannym i poprawnym, które nie może się jednak równać z poetyckim przekładem Konopnickiej, do dalmia stroną jest wycofanie pewnych nieużytych dziś wyrazów jak kajeł, marka, kontent itd. oraz w wielu miejscach uproszczenie rażącego dziś patosu. Mimo tych zmian w duchu czasu, „Serce” nie trafia do psychiki współczesnych dzieci. Jest to książka zbyt tragiczna, za wiele tu wstrząsających wrzusek, przeczuleń, idealistycznego perfekcjonizmu. Zarówno „Serce” jak baśnie Andersena (tak samo niezbyt czytelne dla dzisiejszych dzieci) należą jednak do utworów prawdziwie klasycznych z racji wartości artystycznej, dlatego też mogą i powinny być czytane. Zagadnienie więc sprowadza się do sprawy odpowiednich wydań, w których dopuszczalne są skróty (nie przeróbki, deformujące ideologię i kształt artystyczny utworu) i które winny być zaopatrzone odpowiednim wstępem, zbliżającym do czytelnika zarówno autora jak utworu.

Zupełnie bezpożyteczna jest np. lektura „Podróż Guliwera” jako opowieści fantastycznej o dużych i małych ludziach, jeśli czytelnik nie orientuje się w podłożu społecznym i ekonomicznym, które utwór ten zrodziło, jeśli nie będzie miał pojęcia o żądze satyry politycznej w nim zawartej. Tego wstępu brakuje właśnie obecnemu wydaniu (księgarnia Kota) opracowanemu przez Zechentera, który w swej pracy „przestawawczy” osiąga na ogół szczęśliwe wyniki.

Kryszyzna Kuliczowska

ARTUR SANDAUER

O humorze słów niewiele

Nie wiem, czy będzie mi czytelnik miał za złe, jeśli do istniejących już definicji komizmu dorzucę jeszcze jedną, której wadą jest wszelako nadmierna prostota i brak dostatecznie zawiłej terminologii: śmieszne jest to, co nie jest poważne.

Lekkie drażnienie mniej dostępnych punktów ludzkiego organizmu działa jak dowcip, jeśli dokonane cudzą dłoń i niespodziewanie. Ciało nasze, które wszelkie obce zbliżenie odczuwa jako zagrożenie, wie tym razem, że nie jest ona na serio i reaguje śmiechem. Jest to zabawa w niebezpieczeństwo.

Nie śmiejemy się, ilekroć w grę wchodzi zasadnicze sprawy życiowe i rozkosz jest — jak śmierć — posępna. Chichot, towarzyszący czynnościom przedwstępny, urywa się nagle, by ustąpić miejsca powadze dogłębnego zaangażowania.

Podobnie jak w ukłonie można się dopatrzeć resztek czolobitości, w podniesieniu ramion — szczątków poddańczych gestów, tak w śmiechu — pogłosów tryumfalnego wycia nad groźnym jeszcze niedawno wrogiem. Poczucie bezpieczeństwa i wyższości, pogarda, demaskowanie pod wspaniałością pozorów słabości przeciwnika, wyzwolenie z rzeczywistości — to elementy, z których można by wywieść najbardziej wyrafinowane rodzaje komizmu. Tym również się tłumaczy, że śmieszny może być tylko człowiek lub zwierzęta, którym przypisujemy cechy ludzkie. Komizm morza, gwiazd lub muchy jest niewyobrażalny.

Dowcip jest śmiesznością, sformułowaną w słowach, lekką karą za małe uchybienie, nieznaczna satysfakcja zwycięzcy. Toteż im bardziej wolały swe ostrze, im dalszymi okrażeniami dociera do celu, tym jest lepszy: zbyt lekceważy przeciwnika, aby atakować go bezpośrednio. Stąd ona potrzeba mówienia w ogródkach i domyślności, która zbliża go do zagadki i do

metafory. By zrobić dowcip, nie wystarczy stwierdzić śmieszność; należy ją jeszcze wydłubić, przedłużyć ukryte w niej tendencje do najdalszych konsekwencji, tj. do absurdu. Im przedłużenie dalsze, tym subtelniejszy dowcip.

Ciekawą pracą byłoby zbadanie przyjętych w różnych epokach typów humoru i historyczne ich uzasadnienie. Czym wytłumaczyć tak modny za romantyzmu dowcip autoironiczny? Jak objaśnić wziętość w epoce międzywojennej dowcipu nonsensownego, który — za miast stwierdzać śmieszność i doprowadzić ją do absurdu — odwrotnie, wychodzi z absurdu do założenia, by je potem rozwijać z najbardziej żelazną konsekwencją? Stwierdziłem niejednokrotnie, że osoby starszego pokolenia, jakkolwiek obdarzone żywą inteligencją, na tego rodzaju dowcip już nie reagują: przerasta on ich historyczne możliwości rozumienia.

Teraz dopiero — pod koniec moich uwag — dostrzegam z przeżeniem, że brak im jakiegokolwiek sensu moralno-społecznego. Jakże stąd konsekwencje dla Ziemi Zachodniej? Co wobec takiego ujęcia komizmu sadić o polityce Anglii na Bliskim Wschodzie? Jak jest tajny sens polityczny tych dwugagacy? Bylibym bardzo wdzięczny kolegom z „Kuźnicy”, gdyby mi pomogli rozwiązać ten supelekt.

Artur Sandauer

OD ADMINISTRACJI

Z dnem 1 kwietnia administracja „Odrodzenia” przeniesiona została do Warszawy. Zamówienia prenumeratery oraz wszelką korespondencję kierować prosimy na adres: Administracja Wydawnictwa „Czytelnika”, Warszawa, Daszyńskiego 16. Pieniądże na prenumeratę wpłacać prosimy na konto czekowe w PKO. nr I-4739.

Dworskość krotocwilna

Pośród mnogich utarczek, jakie staczała satyra osiemnastowieczna w Polsce z upiarami przeszłości, nie mało miejsca zajęła walka z panegiryzmem. Kiedy Karpiński w traktacie „O wymowie w prozie albo wierszu” żartuje z mitologicznych perspektyw, w których układne wierszopisy i usługne rytmicznie ukazywały narodziny, śluby i zgony możnych tego świata, to ostatecznie zostajemy w wątpliwości, czy poeta występuje przeciw panegiryzmowi czy przeciw pewnej kategorii środków stylistycznych.

Nie trudno zresztą przyszedł rozgoryczonemu do króla i magnatów lirykowi, który nie znalazł mecenasa, pisać: „Zasły śluby małżeńskie jakiego? już raz wszystkich bogów i boginie poeta w niekzennych wierszach swoich na weselu zaprosił; już mu gra Apollon lutni, Muzy śpięją i Merkur coś bredzi nie do rzeczy. Umarł kto? idą szeregiem Plutony, Prozerpiny, Parki. Wojskowy kto? już on Marsa albo Bellony synem”. Co mieli jednak robić Naruszewicz i Trembecki, którzy posiadali dostojnych protektorów i wysoko postawionych przyjaciół? Zapewne nie raz w głębi duszy błogosławili instytucję Muz, Parek, Plutonów i Prozerpin. Służyły te postaci na poetyckie odczepne. W rozwinętych w tamtych czasach życiu towarzysko-salonowym spełniały one rolę utartych frazesów grzecznościowych. Grzmiano tedy przeciw panegiryzmowi, a równocześnie pisarze po staremu fatygowali w okolicznościowych utworach dobrze pojezi wysłużone Wenery, Parki, Ledy, Galateę, Plutony i Prozerpiny.

Walka z panegiryzmem została w epoce oświecenia sparaliżowana przez fakt, że dwór królewski i niektóre magnackie zaczęły okazywać ambicje mecenasowskie. W następstwie tego podniósł się poziom panegiryków, co utrudniło ośmieszanie gatunku; nie wypadało, a czasem nawet niebezpieczną było rzecz, natrząsać się z miernych wierszy, jeśli w nich chwalałono jakąś dostojną osobę. Bez zmiany struktury gospodarczej, stał się politycznej ani marzyć nie było można o wytepieniu tego chwastu. Dopóki chudzi literaci wisieli u pańskich kłamek, Wenera, Leda, Pluton, Mars i Prozerpina nie mogli liczyć na chwilę wypoczynku.

Po rozbiorach rozspalała się oligarchia szlachecka. Reforma szkolnictwa w nowoczesnym duchu, organizacja przemysłu wydawniczego na zasadach kapitalistycznych, a wreszcie emigracyjne oderwanie się literatury od kraju przypieczętowały los panegiryku. Goethe, jeszcze pisywał kantaty na wielkością uroczystości rodzinne, układał powinszowania i urządził dworskie przedstawienia. Mickiewicz już był od tego wolny. Ten był przynajmniej zysk poetycki przymusowego unowocześnienia się narodu.

Literatura stanisławowska walczyła z panegiryzmem szlachackim i dworskim przy pomocy satyry i parodii. Najgłośniejsze parodie to dwa treny: humorystyczne: „Pogrzeb Filusia” z „Myszeidy” Krasickiego i „Elegia na śmierć Szambelana” z „Powrotu poła” Niemcewicza, zaczynająca się od słów: *Placzące małe amorki! placzące Aciomy! Szambelan już nie żyje, Szambelan zgubiony! A z nim zginęły wdzięki, młodość i rozkosze. Uciszcie się, zefiry!... zgon jego ja głoszę. (Akt II.7.)*

Subtelniejszy okaz tego gatunku, panegiryzm dworsko-salonowy, zostaje ośmieszony przez wprowadzenie panegiryzmu żartobliwego, jakby humoreski komplementacyjny. Jest to niby parodia. Wszyscy pamiętamy wiersz Stanisława Trembeckiego „Portret Klopka, szpica faworytowego króla Stanisława Augusta”. Wiersz ten uważają historycy literatury za niesmaczny przykład dworactwa. Porównajmy z nim utwór Niemcewicza „Do Kaszperka, pieszka starościny Małagowskiej Oda”. Niemcewicz od samego po-

czątku, od inwokacji zaczawszy, parodiuje szumny i pusty styl ody panegirycznej:

O ty! którego piękność i przy-
miot
Wzbudzą zażdość albo za-
dziwienie,
Cny Starościcu, pani twej pie-
szczoty,
Pozwól nieśmiało wznieść do
siebie pienię.
Wiem, że najmiłsza dla ciebie
poduszka;
Ale na chwilę zostaw ją na
stronie,
Zakręć ogonkiem, chciej nad-
stawić uszka
Rzeszy niemieckiej przeżaczny
Baronie!

Boje, jakie stacza wierny Kasz-
perek u podwoi Starościny ze sta-
rozakonnymi natrętami (prawdopo-
dobnie wierzyliem...) przedstawia
poeta w epickim stylu krucjaty:

Bieżyś za sławą w dni twoich
poranku
Jak ów Maltańczyk walczący
z Turkami,
W śmiałej postaci stojący na
ganku
Ogromnym głosem wojujesz z
Żydami.

I gdyby druty i żelazna krata
Nie wstrzymywały ciosów
twych niezmiennych
Zgladziłbyś pewnie wszystkich
z tego świata,
Wielki Kaszperku, pogromie
niewiernych!

Dalej występuje Kaszperek w
modnej wówczas i w oczach hre-
czkosiejów komicznej roli adepta
nauk przyrodniczych:

Często naturę w skrytościach
jej śledzisz,
Nie ma drzew, ziółek, fiatków
niezmiennych,
Których ty noskiem swoim nie
odwiedzisz...

Oda kończy się w sposób żar-
tobliwie komplementacyjny:

Żyj cny Kaszperku; a dobrej
swej Pani
Od chorób, smutków chciej
wielce pilnować.
My wszyscy do niej szczerze
przywziami
Będziemy za to w łapkę cię
całowac.

Najlepszym przykładem dwor-
skości krotocwilnej jest mało zna-
ny wiersz ojca Klementyny Tań-
skiej-Hofmanowej, poety Ignacego
Tańskiego (1761–1805). Tytuł wy-
stylizowany w manierze dworsko-
kancelaryjno - dedykacyjno - pane-
girycznej:

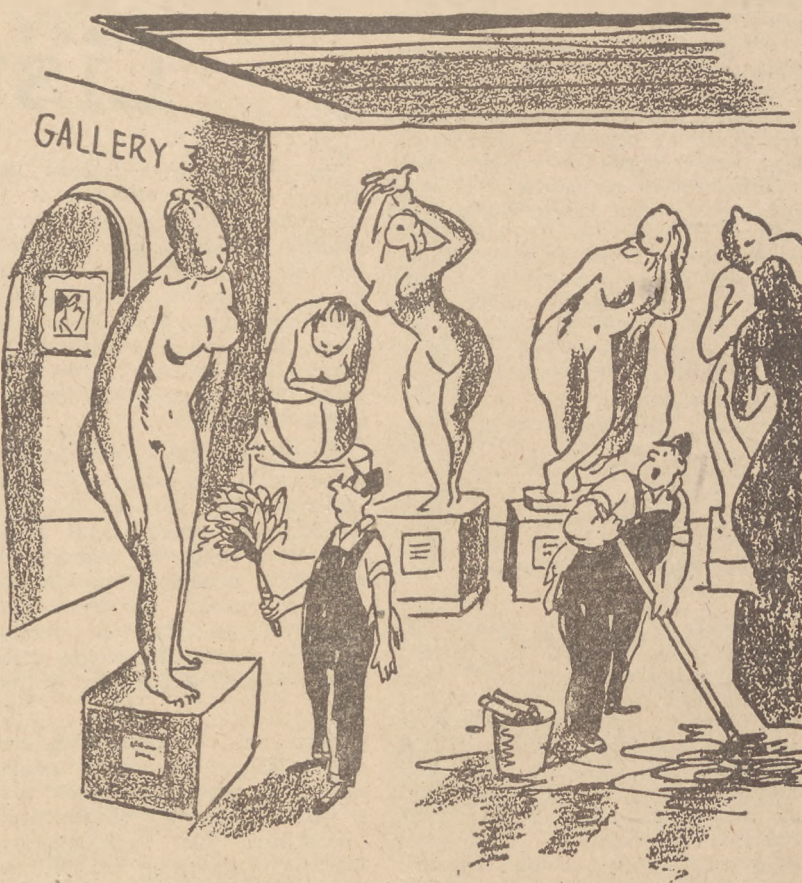
Z okazji nakazu doktorów
Jasnie Wielmożnej
Zofii Zamoyskiej Ordynatowej
Używania bulionów z żab, śli-
maków i żółwiów
W ich imieniu podana
Suplika
W Putawach.

Treść humorystycznej „Supliki”
jest następująca:

My, Żółwie, Ślimaki
I Zaby i Raki,
Całe błotne pokolenie
Zastyszały groźby
Na nas biednych zatracenie,
Niesiem te prośby.
Nie każ, Panu! dreczyć dłużej
Mieszkańców kałuży.
Raczej na skopy, ciętą
I inne zwierzęta,
Które noszą większe rogi,
Zwróć apetyt srogi.
Gdy się prośba nasza ziści,
Będziecie mieć w korzyści:
Ze wasze śniadanie,
Co się wlokac zbyt leniwie,
Gniew w najlepszym wzbudza
Panie.
Wnet pójdzie skwapliwie.
Tobie za życie wdzięczny nasz
ród cały,
Na bagniskach,
Trzęsawiskach
Skrzeczac będzie Twe pochwa-
ty.

(Ignacy Tański. Wiersze i pisma
różne. Dzieło pogrobowe. W-wa
1808, str. 271-2).

Wacław Kubacki



(„American Magazine”)

— Nie miej złudzeń, powoli się przyzwyczaisz!

RUBRYKA Nr 47

UWAGA! DZIŚ PIĘĆ DAN:

I

OSOBISTE CZYLI ŻYCIE I SALON

Do oczy zamykającego

Jeden mój kumpel, duże dzidzi,
co winno trzymać się poręczy,
zamyka oczy, gdy mnie widzi,
powie, czy ciebie to nie męczy?

II

ZNIŻKOWE OGŁOSZENIA DROB-
NE Z „GAZETY KRÓLA HERO-
DA”

Komplikujemy. Rafffinujemy.
Przeintelektualizujemy na zasa-
dzie lipy na poczekaniu. Usuwamy
kontakt z Kasą i Rzeczywistością.
Zmniejszamy nakłady na żądanie
do zera. Tysiące listów pochwal-
nych od nienormalnych. Dyskretnie.
Pośpiesznie pracownia dogmatysty-
czno-estetyczna „Jumbo”.

Malarz stalugowy maluje obrazy
w treści i formie gwarantowane
niezręczniami dla doręcznika. Z po-
wodu nędzy może wynajść się ew.
jako niekosztowny koń, bo z po-
wodu choroby żołądka brak apety-
tu gwarantowany. Łaskawe oferty
pod „Maciej Fużeron Kupa”.

Treść:

Zespół mandolinistów
z klubu „Harmonia”
gra przed mikrofonem
„Grób Napoleona”.

Komentarz:

Każdemu wolno kwilić
tak, jak mu serce każe
na szkle, na cytrze, na pile
plonąć przed Sztuki ołtarzem,
dłubać po strunach mandolin
celulozowym paznokciem
w zachwieju tonieć powoli
i jednocześnie — potnieć.

Potnieć i tonieć. Zauważ
tę dźwięków dziwną igrawkę
mandolinisto, co fruwasz
w melodiach, jakbyś był ptaszkiem.

O, Napoleon był wielki
— ktoś nie wie o Napoleonie —
więc w tonach podniosłych toniesz
choć uwierają cię szelki.

Przystępujemy do nie-
skomplikowanej akcji:

Już siedli. Speakerka rozgłośni
— czyżby naprawdę wzruszona?
rzekła w mikrofon w miarę donoś-
nie:

„Orkiestra klubu „Harmonia”
i — „Grób Napoleona”.

Jest trema — kto mówi, że nie ma
choć było już kilka prób.
Pięć panów z rozprawy Brehma
zaczęło kopać „Grób”.

Te nieodzwonne chrząknięcia
wytarty dyskretnie nos
do wieńca mandolin pięciu
wpręgli przedwstępny głos.

III

ETYMOLOGIA JEDNEGO SAMO-
BOJSTWA W DWÓCH OSOBACH,
czyli
OSTRZEŻENIE DLA SZENGAJ-
STÓW

(Dramat i deprekacja w dwóch
ślicznych strofach na omszałym
nagrobku).

Pierwsza śliczna strofa:
Z powodu słowa „refons”
Powiesił się Ildefons,
A obok Artur Marya
Z powodu słowa „baratarya”.

Druga śliczna strofa:
(deprekacja pod adresem kolegi
Przechodnia)

Przechodniu, trzy zdrowaśki
zmów,
Ale nie używaj dziwnych słów.

Omszały nagrobek:
(stoi)

IV

Takie trzy aforyzmy za jedno
dwadzieścia złotych!
PAŃSTWO — FABRYKA W KO-
SCIELE; KŁAMSTWO — CO KO-
BIETY NAZYWAJĄ PRAWDĄ;
DZIEWICTWO JEST KALEC-
TWEM —

Rączki całuję
i polecam się —

V

Podpis:
Król Herod

KONCERT

Lecz potem już poszło wartko
sikława lkających strun
koś tylko szelestał nut kartką,
lecz na tym nie pozna się tłum.

Słyszycie? Jest „wierzba płacząca”,
— melancholijny tryl —
a może ocean szumiący,
tysiące pustynnych mil?

Coś się przelewa, dzwoni
rzewnym strumieniem wytryska
kielkuje pośród rzepoleń
bylinka bez nazwiska.

Powój mandolinowy
tkliwy miśbieszki migdał
jakimi określić słowy
ten melodyjny sygnał?

Cesarz i mandolina
i pięciu lysawych grubasków —
migdałopowój się wspina
nurtem brzęczących kaskad.

A jest w tym — jakby to ująć —
coś jak romantyzm Seydlitz
starsi panowie czują,
że mogą nawet zachwycac.

Ze prymitywne strun drganie
odrzuca banalny mit:
„Jest ostrow na tom okieanie
pustynnyj i mracznyj granit...”

Więc nowym zatrząsły się szlochom
drućki nabrzmiałe od skarg
synpny perlistych łez grochem,
że cesarz, ach cesarz już zmarł.

Ach, umarł wielki Napolion
wydany bezwstydnie na łup —
raz jeszcze przez pięć mandolin
wepchnięty w liryczny grób.

Teodor Bujniński

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia” z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura”. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, listów i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura” pod adresem: Redakcja „Odrodzenia”, Warszawa, Daszyńskiego 14, dział „Camera obscura”. Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej kolorowym ołówkiem. Komentarze nie są potrzebne. Do przysyłki należy dołączyć imię i nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału. Strzeżcie sobie prawo wysyłania go do działu „Camera obscura”. Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przynosi nagrodę w wysokości 1000 zł, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

ZATRZAŚNIĘTE „ODDRZWIA”

Ob. Julia S., art. malarzka z Kra-
kowa, wskazuje na nieścisłości „ję-
zykowe w artykule p.t. „W Choj-
nowcu strasz Wiechem” („Prze-
kroć”, nr 115):

Zatrząskują się ciężkie oddzwia.
„Nie „oddzwia” — pisze ob. J. S. —
lecz odrzwia, jak otrzewna, o-
kostna, osierdzie itp. Odrzwi za-
trząsnąć nie można, gdyż jest to
część konstrukcji, która obejmuje
drzwi, jak otrzewna otacza trze-
wia; drzwi są wprawione w
odrzwia; stolarz nowoczesny nazy-
wa to futryną. Czy można powie-
dzieć, zamiast „zatrząsnąć okno” —
„zatrząsnąć futrynę”?

PIETRZ, KAMFORA
I SEKRETARZ

Okrywający chudy grzbiet przepiso-
wym worem pokutnym i posy-
pawszy głowę popiołem, camerzy-
sta zjawił się w redakcji „Odro-
dzenia”, runął do stóp naczelnego
redaktora i poprosił o dymisję. Po-
wód: kompletna ignorancja, kom-
promitująca poziom pisma. Należy
się spodziewać, że na skutek nie-
uctwa camerzysty zaczyną napływać
setki listów, pełnych zdumienia
i oburzenia. Jeden taki list już
nadszedł. Oto on w całej swej oka-
załości, powadze i ka-te-go-
rycz-no-ści.

W nr 25 (134) „Odrodzenia” z dn.
22 czerwca br. ukazała się w dzia-
le „Camera obscura” notatka tre-
ści następującej:

„Pan Jan i pieprz:
„Głos Pomorza” (nr 129) w ar-
tykule pt. „Oszust matrymonialny
zostawił 18-letnią żonę i zbiegł”.

Pan Jan znikł i jak kamfo-
ra bez pieprzu.
Pan Jan jest człowiekiem roz-
sądnym. Po co zabierać ze sobą
pieprz, gdy się wieje tam, gdzie
pieprz rośnie!”

Jako sekretarz redakcji „Głosu
Pomorza”, regionalista i zbieracz
tekstów gwarowych Polski Zachod-
niej, stwierdzam kategorycznie, iż

trafne i stare przysłowie ludu
„Znikł jak kamfora bez pieprzu”
jest w codziennym użyciu na
morzu, Śląsku i w Wielkopolsce.

Autor notatki wspomnianej
grzeszy znajomością kultury lu-
dowej i nie kontaktuje się zupeł-
nie z zasięgiem ludności pomorskiej.
Stąd nie rozumie wyrażenia „zbiegł”
potocznego, które dawno zdobyło
sobie prawo obywatelskie.

Zaznaczam wreszcie, iż wspo-
miane przysłowie znane jest także
w innych dzielnicach Polski i w
razu użycia przez inteligenta z Małopo-
li lub Lubelszczyzny. Nie jest to
wiedza prowincjonalna lub ger-
mizm, lecz utarte przysłowie, zna-
ne milionom obywateli Polski.

Toteż ze zdumieniem przeczy-
tałem w „Odrodzeniu” notatkę
świadczącą o kompletnej ignoran-
cji jej autora.

Łączę wyrazy poważania.

Mieczysław Dereżyński
Sekretarz Redakcji
„Głosu Pomorza”

Należy zaznaczyć, że oryginał
listu wygląda znacznie gorzej niż
przedruk na skromnych łamach na-
szego działu. U góry — nadru-
k „Głos Pomorza”. Redakcja...
ru... Oddziały własne... By-
gocze... Grudziądz... Inowrocław
Włocławek... U dołu — okras-
ka: „Spółdzielnia Wydawnicza”
„Wiedza”. Oddział w Toruniu
Głos Pomorza... Redakcja...
Sł... wem: potęga bije z tego arkusza
papieru. A treść listu, jak widzieli-
śmy, miażdżąca: „stwierdzam ka-
tegorycznie... „nie kontakt
się... „nie grzeszy... „nie roz-
mie... „milion obywateli... „
zdumieniem... „kompletna igno-
rancja”.

I o co tyle krzyku, najmil-
si czytelnicy „Camery”? O troch-
kamfory, z pieprzem czy bez pie-
przu...

Kiedy się ten naród odczyt
potrzebnej pompy, gadulstwa, obra-
żalstwa, pisania napuszonych
słów, „ja mu pokaze!” „będę
u mnie widział!” itp. piepienia
Dymisja nie została przyjęta.

Wieczór „Pod Pikadorem”

W miłym liście otrzymanym od
redakcji „Odrodzenia” przeczyta-
łem... „Każdy niemal pisarz kry-
je w szufladach swego biurka cie-
kawości, anegdoty, materiały, któ-
rymi chciałby się podzielić w ja-
kiejś odpowiedniej chwili...”

Słowa te poruszyły we mnie od-
ległe wspomnienie, które istotnie
— utrwalone na jakiejś luźnej kari-
ce — przeleżało dużo lat w szufla-
dzie biurka... Przeszukałem tę szu-
fladę (cudem ocalałą z kataklizmu
wojennie-okupacyjnego, w którym
straciłem znaczną część swych
książek, rekwizytów i zbiorów) i
odnalazłem ów arkusik — z lekką
już pożyłką papieru... Krótki
obruchunek: ano, nie dziwnego
trzydzieści lat... Tak, to było bez
mała trzydzieści lat temu, a dzia-
ło się na Nowym Świecie w ka-
wiarni poetów (późniejszych „ska-
mandrytów”), „Pod Pikadorem”.

W imprezie tej przez pewien czas
brałem udział, recytując swoje
pierwsze utwory w towarzyszywie
serdecznych przyjaciół, a już wie-
dy świętych pisarzy: Tuwima,
Lechonia, Słonimskiego i Iwaskie-
wicza.

Otóż kiedyś, gdyśmy przygo-
towali zmianę programu, Tuwim
postanowił zaprezentować publicz-
ności swoje przeżabiane parodie
(które później weszły w skład to-
mu pt. „Jarmark rymów”). Były
to „wariacje” na temat „Nie rusz,
Andziu, tego kwiatka” w domnie-
mane interpretacji szeregu auto-
rów. Na to Słonimski oświadczył,
iż warto by uzupełnić ten punkt

Niepomna przestrzóg matki, pijana swym zamiarem,
piękna Annetta (wielbi ją włoski margrabia)
przybliży się ku różu, co dziewę przywabia
purpurową grandezzą i zapa chu czarem.

W ogrodzie oszołomnie brmi kapela żabia,
namietnie owiewająca róż upojnych harem.
Annetta sunie zwolna... pierś jej dysze żarem...
ręka wprzód wyciągnięta niby dziób korabia...

Wtem — krzyk cichy... Krwi kropla zabarwia rubinem
palec, w który zdradziecko ubił się wraży kolec;
i jak rycerz, upojon bohater skim czynem,

co dla kaprysu lubej naka zał mu polec,
chwycie się smukły palec, brocząc krwią wykrutą...
Och, jakby kształt ten rzeźbił boski Benvenuto!

Gabriel Karski

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

LITERATURA

Józef Bieniasz. Lawina idzie. Po-
wiesć sportowo-turystyczna. War-
sawa, Gebethner i Wolff, 1947;
str. 177 i 3 nl i 8 knl. ilustracji.

W. T. Christine. Kaliber 635.
Okładka J. Mroczaka. Katowice,
AWiR, 1947; str. 329 i 1 nl.

John Dos Passos. Manhattan
Transfer. Z upoważnienia autora
przełożył Tadeusz Jakubowicz. Z
przedmową Sinclaira Lewisa. Ok-
ładkę projektował Władysław Da-
szewski. Warszawa, „Książka”,
1947; str. 517 i 3 nl.

Anatol France. Wyspa pingwi-
nów. Tłumaczył Jan Sten. War-
sawa, „Książka”, 1947; str. 279 i 1 nl.
i III i 1 nl.

Ilia Ilf i Eugeniusz Pietrow. 12
krzesel. Powieść. Katowice, Wy-
dawnictwo „Książka dla Wszyst-
kich”, 1947; str. 296.

Juliusz Kaden Bandrowski. Mia-
sto mojej matki. Warszawa, Ge-
bethner i Wolff, 1946; str. 143
i 3 nl.

Zygmunt C. Kocorowski. Uśmie-
chy Samotności. (Życie jest piękne).
Warszawa, Dom „Książki Polskiej”,
(bez r. w.); str. 158 i 2 nl.

Józef Ignacy Kraszewski. Mori-
turi. Powieść w dwóch tomach. Ka-
towice, „Literatura Polska”, 1947;
str. 411 i 2 nl.

Jalu Kurek. Zraniony ptak. Wier-
sze wybrane. Kraków, „Przełom”,
1947; str. 109 i 3 nl.

Tadeusz Różewicz. Niepokój.
Kraków, „Przełom”, 1947; str. 71
i 1 nl.

Aleksander Rymkiewicz. Z naro-
dem Poezje. Warszawa, „Panteon”,
1947; str. 128 i 4 nl.